MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VIII. Nr 2 WARSZAWA, 15 STYCZNIA 1928 R. CENA NUMERU 1 zł.

LUDZIE BEZ PRAWDY

NIEDAWNO dziennikowi „Głos Prawdy" zdarzył się dość zabawny wypadek: w nr. 333 (grudzień r. ub.) zamieszczono równocześnie w dwóch różnych działach dwie oceny tej samej książki, mianowicie rozprawy Henryka Balka p. t. „Z badań nad wyobraźnią artystyczną Stanisława Wyspiańskiego". Sprawozdanie na stronicy szóstej utrzymano od początku do końca w tonie bez zastrzeżeń przychylnym („Praca bardzo sumienna, dążąca do syntetycznego ujęcia" i t. d.). Natomiast na stronicy czwartej fejletonista „Głosu Prawdy" pogląd swój na wartość dzieła p, Balka sformułował w słowach następujących: „konia z rzędem... temu, kto ludziom normalnym wytłumaczy, poco właściwie drukujemy podobne brednie sumptem zakładu narodowego im. Ossolińskich. I jeszcze jedna kwestja, którą powinni się zająć czytelnicy romansów kryminalnych i prokurator: kto poszczuł młodego filologa na Wyspiańskiego, kto go do kradzieży z włamaniem namówił, kto mu ją ułatwił, kto mu wytrych w łapę wetknął i kto go pchnął do skarbca literatury?".

Wydarzenie jest błahe, może stać się jednym więcej przyczynkiem do zbioru autentycznych anegdot na temat „chochlików drukarskich", roztargnienia redaktorów, korektorów, zecerów. A jednakże ten drobny przypadek, skutek łatwo dającej się wytłumaczyć nieuwagi, na szpaltach „Głosu Prawdy" urasta nieomal do znaczenia symbolu. W rzeczywistości bowiem stan podobny, tylko już nie wskutek przypadku, powtarza się mniej więcej stale, ile razy inteligent z obozu „sanacyjnego" poprobuje zająć stanowisko wobec jakiegokolwiek zagadnienia o znaczeniu ogólniejszem. Stwierdza się zazwyczaj, że t. zw. „obóz pomajowy" nie posiada poza kultem jednostki, żadnej ideologji, żadnego określonego programu. Rozpatrzywszy rzecz nieco bliżej, pogląd powyższy sformułować należy raczej w ten sposób, że normalny przedstawiciel obozu „sanacyjnego" jest równoczesnym wyznawcą całego szeregu ideologij, doktryn i haseł, które wzajemnie się wyłączają. Niech nikt nie przypuszcza, że publicystę lub polityka tego obozu wprawi w zakłopotanie, dopytując się, jakie są zasadnicze podstawy ideologiczne jego programu. Odpowiedzi na to pytanie nie zbraknie nigdy: demokracja wojskowa, Gandhyzm policyjny, neonacjonalizm antynarodowy, faszyzm liberalistyczny...

Rozliczne są przyczyny, które sprawiły, że ten właśnie typ umysłowości jest dziś u nas wśród inteligencji nie tylko możliwy, ale nawet rozpowszechniony. Pośród wielu czynników, co urabiały, a poniekąd do dziś jeszcze urabiają umysły według tego typu, bezwątpienia niemałe znaczenie przypisać trzeba szkole. Jakże bowiem, w ogromnej większości wypadków, przygotowywała swoich uczniów szkoła średnia, zwłaszcza w latach, bezpośrednio poprzedzających r. 1914, a więc w okresie, kiedy właśnie wychowywało się pokolenie, które dzisiaj wywiera największy wpływ na bieg spraw państwowych? Na jednej lekcji ksiądz katecheta objaśniał uczniom dogmaty o stworzeniu świata, na następnej nauczyciel przyrody zdobywał ich umysły dla materjalistyczno-ewolucjonistycznych teoryj i hypotez. Nauczyciel historji, wychowanek i wyznawca „szkoły krakowskiej", najsurowiej potępiał dawną Rzeczpospolitą, krytykował brak „silnej władzy", głosił „trzeźwość", „konieczność liczenia się z warunkami". W godzinę później, polonista na lekcji literatury za szczyt myśli ludzkiej ogłaszał pisma mistyczne Słowackiego, wypowiadał płomienną pochwałę mesjanizmu. Jeśli wreszcie wziąć pod uwagę zabór rosyjski, nie bez wpływu był nawet „liberalizujący", opozycyjnie wobec panującego systemu nastrojony nauczyciel języka rosyjskiego, krzewiciel entuzjazmu dla teoryj Bakunina i Tołstoja. O nadaniu całej nauce szkolnej jednolitego kierunku, przeniknięciu jej jedną ideą naczelną, nikt

prawie nie myślał, przytem w trudnych warunkach politycznych okresu przedwojennego program taki nie byłby w całości wykonalny. A zresztą, co najważniejsze, szkoła była jedynie odbiciem nurtujących w społeczeństwie sprzecznych prądów, i one właśnie, nie doprowadzane do syntezy, a niejako w opinji równouprawnione, musiały wkońcu wywołać wzrastający zamęt już nie tylko w zbiorowości, ale w umysłach jednostek.

Dla większości niesklonnych do zastanawiania się nad zagadnieniami ogólnemi, nieprzyuczonych do samodzielnego myślenia, zamęt ten nie jest nawet źródłem zakłopotania: poprostu nie spostrzegają jego istnienia. Tak jak przed laty, zadanych lekcyj w szkole „wykuwali się" bezmyślnie, „na pamięć", podobnie dzisiaj rozumują o sprawach publicznych przy pomocy gotowych, z różnych stron pozbieranych formułek, nie uczuwając potrzeby uzgodnienia zachodzących między niemi sprzeczności. Ci stanowią szeregowców „sanacji", rzesze czytelników i wyznawców.

Są jednak inni, dla których szerzący się w społeczeństwie chaos ideowy zamienił się w praktyczną życiową szkołę cynizmu. Gdzie jest szereg „prawd", wyłączających się nawzajem, a współistniejących, tam właściwie żadna prawda nie obowiązuje, a wtedy już pozostaje na placu jedyny czynnik realny: egoistyczny interes jednostki albo grupy. I jak dawniej sprytny sztubak rozumiał, że w inny sposób opowiedzieć powinien dzieje walki papiestwa z cesarstwem księdzu prefektowi, a inaczej wolnomyślnie usposobionemu nauczycielowi historji powszechnej, tak obecnie „zręczny" polityk pojmuje doskonale, że inny program trzeba mieć dla pozyskania ziemiaństwa, inny dla fornali, a jeszcze inny, aby wzbudzić entuzjazm na zjeździe rabinów. Czyż nie tak właśnie musi przedstawiać się psychika radykała, objeżdżającego z referatami zamki hrabiowskie, aby czarować arystokrację? System cały wydaje się nader pomysłowy, wyniki—znakomite. Byle tylko nie być roztargnionym i delegacji Episkopatu katolickiego nie odpowiedzieć przez pomyłkę przemówieniem, przygotowanem na uroczystą inaugurację oddziału „polskiej Y. M. C. A"...

Ale przeciw temu światkowi ludzi bez wiary, bez prawdy, bez ideału, coraz wyraźniej zaczyna przejawiać się reakcja, budząca się wśród młodego pokolenia. Kto uważniej obserwował życie ideowe młodzieży akademickiej w ciągu ostatnich lat kilku, nie mógł pominąć faktu, że najbardziej aktualnem zagadnieniem, powodującem najwięcej rozważań, polemik, dyskusyj, było w tym czasie zagadnienie stosunku nacjonalizmu do religji. Jest rzeczą niewątpliwą, że w zjawisku tem wyraziło się, może niezawsze świadome, dążenie do uporządkowania stosunku jednostki do spraw najgłębszych, ażeby potem, posiadając syntezę naczelną, w zgodzie z nią szukać rozwiązania wszelkich kwestyj poszczególnych. Coraz powszechniej uczuwa się pragnienie posiadania prawdy, w którą się wierzy, niewzruszonej zasady postępowania. I ta psychika będzie, zdaje się, znamienna dla okresu, który nadchodzi.

JAN REMBIELIŃSKI

KRYZYS W KOŚCIELE ANGIELSKIM

ROK 1927 uznano naogół za nieciekawy pod względem politycznym. Sprawozdawcy polityczni pism, „rzucający okiem wstecz" na ubiegłych dwanaście miesięcy z okazji nadejścia roku nowego, wyrazili opinję taką dosyć zgodnie. Trzeba wszakże stwierdzić, że najciekawsze bodaj zdarzenie polityczne w roku zeszłym, przypadające na sam jego koniec, uszło niemal całkowicie ich uwagi. Pewna gazeta warszawska np. za fakt najdonioślejszy w tym okresie uznała odruch przeciwbolszewicki nacjonalistycznych Chin południowych. Nie pomniejszając bynajmniej wagi tego istotnie doniosłego zdarzenia, wolno mniemać, że faktem, więcej jeszcze pobudzającym do myślenia i o wiele jaskrawszy rzucającym snop światła na przyszłość Europy i świata, są objawy innego kryzysu, zachodzącego w łonie innej, bliższej nam cywilizacji: objawy kryzysu w kościele angielskim, kulminujące w przełomowym dniu 15 grudnia roku zeszłego, kiedy izba gmin przekreśliła projekt reformy kościoła, owoc długoletniej i nad wyraz mozolnej pracy anglikańskich czynników duchownych.

— Cóż! niewielkie sobie zdarzenie na partykularzu angielskim! — powie czytelnik, orjentujący się w skromnej roli, jaka przypada kościołowi angielskiemu wśród chrześcijańskich zrzeszeń religijnych świata. To też wypada uzasadnić, dlaczego przypisujemy kryzysowi w kościele angielskim znaczenie ogólne, a w szczególności — znaczenie polityczne. Lecz wpierw naszkicować trzeba obraz położenia.

Obrady nad reformą kościelną w parlamencie angielskim były szczególnie ciekawe przedewszystkiem dlatego, że wybiły na historję okno, przez które wtargnęło szeroką falą powietrze dziejów. Parlamenty, rządy tworzą niby historję przez cały czas swego urzędowania czy swej pracy, ale w rzeczywistości „chwil historycznych" jest stosunkowo niewiele, bo robota ciał ustawodawczych czy wykonawczych zazwyczaj nosi cechy łataniny, klecenia czegoś od wypadku do wypadku.

Rzadko które poczynania odrazu zarysowują się na tle rozleglejszej perspektywy historycznej i dają wprost wrażenie przekształcania dziejów.

Otóż wrażenie takie robiły propozycje kleru anglikańskiego, bo zmierzały ni mniej ni więcej, tylko do zmiany zasadniczej ustawy regulującej sprawy liturgji i obrządku, a pośrednio także niektóre dogmatyczne—ustawy o „*Prayer Book*" (czyli o „Mszale"), którą kościół angielski stał od roku 1662, a więc mniejwięcej od czasu, gdy wogóle ustalił się i zorganizował, jako kościół urzędowy i państwowy, najpierw małej Anglji, zaledwie wstępującej w okres ekspansji kolonjalnej, a potem imperjum angielskiego, aż wzrosło do dzisiejszych rozmiarów.

Dziwna rzecz, że kościół ten nie budził większego zainteresowania w chrześcijaństwie, bo przedstawiał niezwykły zaiste widok kościoła, którego istnienie (przynajmniej w dotychczasowej postaci) zawisło od bezreligijności, a w każdym razie od mało żarliwego stosunku do spraw wiary. Inaczej zależność tego kościoła od państwa, zależność całkowita, zupełna, nie dałaby się chyba pomyśleć ani utrzymać. Objektywnie określa tę zależność uczony amerykański Lowell, gdy powiada, że kościół angielski nosi kajdanki na rękach i nogach.

Wszystkie dogmaty, wszystkie prawa, obowiązujące w tym kościele, ustalone są, lub zatwierdzone przez państwo. „Ustawa o uległości duchowieństwa" *(Act for the Submission of the Clergy)* z czasów Henryka VIII zatwierdziła moc obowiązującą kanonów, które anglikanizm przejął w spadku po Rzymie. Elżbietańska „Ustawa o zwierzchnictwie Korony" (*Act of Supremacy)*, ustanowiła Koronę głową Kościoła angielskiego. Wreszcie ustawy o jedności obrządku i artykułów wiary, przeprowadzone przez parlament w r. 1662 jako *the Acts of Uniformity*, a obejmujące *the Prayer Book* i *the Articles of Religion*, zamknęły w sobie liturgję i rytuał, które w aktach państwowych, ustawodawczych, zostały uwięzione, jak owady w bryłce bursztynu. Wszelką bowiem zmianę, a nawet wszelką zmian inicjatywę wspomniana ustawa o uległości duchowieństwa uzależniła całkowicie od państwowego *placet*. Od czasów Henryka VIII do dzisiaj duchowieństwo zbierać się może na zgromadzeniach (*convocations*) i obradować nad sprawami kanonicznemi jedynie na znak dany przez koronę (w formie *King's Writ*, t. j. pisma królewskiego), co w praktyce od czasu ustalenia się w Anglji systemu rządów parlamentarnych, znaczy to samo, co znak, dany przez gabinet. Gabinet zwołuje, odracza i rozwiązuje zgromadzenia duchowieństwa. Lecz *King's Writ*, czyli hasło: „do roboty!" — nie oznacza, że duchowieństwo może zabrać się do pracy nad temi sprawami, które samo uważa za najważniejsze. Gabinet i w tym względzie daje wskazówkę, której zignorować nie wolno: mianowicie, zwołując zgromadzenie, ogłasza równocześnie *Letters of Business*, które precyzują przedmiot, mający być tematem obrad duchowieństwa. Do powyższych listów załącza pozwolenie (*Licence* w formie *Letters Patent*) na proponowaną zmianę w prawie kościelnem, ale tymczasowe i warunkowe.

Do tego, żeby projekt mógł wejść w życie, potrzebne jest jeszcze drugie pozwolenie, analogiczne do pierwszego, pozwolenie na promulgację nowego (lub zmienionego) kanonu. W ten sposób gabinet aż do ostatka trzyma w ryzie czynniki kościelne, a zaznaczyć należy, że ze swojej władzy dyskrecjonalnej korzysta naogół bardzo swobodnie.

Ale tylko zmiana kanonów, dotyczących praw i obowiązków osób duchownych, może być uskuteczniona stosunkowo dość łacno — bo na skutek prostej aprobaty gabinetu, udzielonej propozycjom czynników kościelnych. Wszystkie natomiast prawa kościelne, dotyczące zarówno duchownych, jak świeckich — wymagają zatwierdzenia przez najwyższy organ państwowy — przez parlament. Do takich praw fundamentalnych należą między innemi te, które ustaliły liturgję i wierzenia kościoła angielskiego — jak wspomniane wyżej *Articles of Religion Act* i *Prayer Book Act*. I właśnie, gdy miesiąc temu usiłowania przekształcenia *Prayer Book* rozbiły się o opór parlamentu, kryzys uwydatnił się nagle i gwałtownie.

Był nawet dłuższy, bo przeszło stutrzydziestoletni okres w dziejach kościoła angielskiego, kiedy zgromadzenia kleru nie były wcale zwoływane. Aczkolwiek zredukowane właściwie do roli ciał opinjodawczych, zawiniły mimo to w r. 1717 zbyt samodzielnem wyrażeniem opinji, wskutek czego zostały zawieszone w funkcjach, i zebrać się ponownie mogły po raz pierwszy dopiero w połowie wieku dziewiętnastego! Przez ten czas wszelka działalność kościelna w zakresie własnego prawodawstwa, wszelka w tym zakresie inicjatywa, były całkowicie zahamowane. Że fakt ten nie wywołał większego wrażenia w opinji i nie zostawił po sobie trwalszych śladów w historji, wytłumaczyć można jedynie obojętnością na sprawy religijne, właściwą sceptycznej i pogańskiej cywilizacji, wyrobionej w owym czasie przez warstwy oświecone, głównie zaś arystokrację, sprawującą rządy w państwie i kościele.

Rządy w kościele angielskim sprawują nominaci ministerjalni: rozumie się to samo przez się, jako harmonijny szczegół w systemie zależności kościoła od państwa. Formalnie biskupów i arcybiskupów wybierają wprawdzie dziekani i kapituły, ale w rzeczywistości, otrzymując upoważnienienie do dokonania wyboru, odbierają zarazem pismo gabinetu (*letters missive)*, wymieniające kandydata, którego muszą wybrać pod groźbą kary. Wybrani w ten sposób dostojnicy kościoła angielskiego w minimalnym tylko zakresie posiadają jurysdykcję nad duchowieństwem, bo sprawy o przekroczenie dyscypliny kościelnej sądzić może biskup tylko za zgodą oskarżyciela i oskarżonego, w przeciwnym razie, czyli w większości wypadków, sądzi trybunał, zwany kościelnym, lecz w którym zasiada sędzia świecki, w ostatniej zaś instancji sprawa idzie pod rozstrzygnięcie Komitetu Sądowego Rady Tajnej (*Judicial Committee of the Privy Council)*, na którego skład czynniki duchowne nie mają wogóle żadnego wpływu. Przytem — co jest rzeczą ważną dla zrozumienia sytuacji dzisiejszej w kościele angielskim — żadna sprawa o pogwałcenie dyscypliny kościelnej nie może być wytoczona duchownemu bez zezwolenia właściwego biskupa.

Jak widać z powyższego, cała struktura i cała bodaj instytucja kościoła angielskiego obliczona była na takie czasy i stosunki, kiedy uważano, że sprawy religijne nie mogą w gruncie rzeczy nikogo bliżej obchodzić. Ustrój ten zorganizował się w okresie reformacji, do której najsilniejszy zapewne impuls dały w Anglji i Szkocji bardzo doczesne i brutalne apetyty na dobra kościelne i klasztorne. Zrozumieć ówczesne nastroje możemy, gdy pomyślimy, że były to namiętności podobne do tych, jakie dziś rozpętuje sprawa reformy rolnej. Znamy zresztą i z naszych dziejów to wołanie o „egzekucję dóbr"... W atmosferze tej egzekucji zrodził się kościół angielski, a z początkiem ery protestanckiej w dziejach Anglji zaczęła się także era kapitalizmu. W społeczeństwie, cieszącem się największym w Europie dobrobytem, najdoskonalej rozwijającem praktyczny materjalizm, stan spraw kościelnych nikogo nie martwił zbytnio. Zresztą kościół ten, będąc ograniczony w swoich kompetencjach ustawodawczych i administracyjnych, zarówno jak w swojej jurysdykcji, stracił — jak to zauważono — w niemałym stopniu charakter organizacji dyscyplinowanej, opartej na zasadzie hierarchji, a upodobnił się raczej do organizacji zawodowej. Ogromnie przyczyniła się do tego ta okoliczność, że benificja uchodzą za własność prywatną duchownych, którzy z beneficjów korzystają dożywotnio. Po „egzekucji" dóbr kościelnych prawo prezentacji *(advowson)* na benificja duchowne przeszło w wielu wypadkach w ręce świeckie, tak że dziś na ogólną liczbę beneficjów, aż połowa przypada kandydatom,

zaprezentowanym przez osoby świeckie. Biskup może wprawdzie odmówić zgody na nominację takiego kandydata, ale tylko wtedy, jeśli uzna kandydata wogóle za niegodnego do objęcia jakiegokolwiek beneficjum. Zresztą ustawa o beneficjach *(Benefices Act)* z r. 1898 jeszcze ściślej określiła dopuszczalne powody odmowy, która poza tem wszystkiem podlega zaskarżeniu przed sądy. To też odmowy w praktyce zdarzają się nadzwyczaj rzadko. Drugą połową beneficjów dysponuje częściowo państwo, częściowo uniwersytety, głównie jednak biskupi i kapituły katedralne. Gdy prawo prezentacji znajduje się w rękach świeckich, uchodzi za prawo prywatne, związane z własnością ziemską, stąd może przejść w ręce inowierców, żydów lub pogan, lecz nigdy w ręce rzymskich katolików. W tych warunkach nic dziwnego, że rozszerzył się handel beneficjami, które kandydaci zakupują zgóry u właściciela majątku, czekając na śmierć poprzednika i swoją kolejkę. Wprawdzie chrześcijaństwo już w średniowieczu potępiło simonję, ale mimo to operacje te nie są bezwzględnie zakazane przez prawo, i — do ostatnich przynajmniej czasów — notowano ich po kilkadziesiąt rocznie.

Duchowni na beneficjach *(incumbents)* utrzymują się przeważnie z pobieranych dziesięcin. System płacenia dziesięcin jest także pozostałością średniowiecznego ustroju kościelnego, która, choć zachowana, straciła w wielu wypadkach swój pierwotny charakter i może być rozumiana tylko, jako prywatne prawo własności. Dziesięciny nie idą dziś bowiem wyłącznie na uposażenie duchownych anglikańskich, lecz w sporej (jednej czwartej) części stanowią także prawo majątkowe osób oraz instytucyj świeckich. Cały system dziesięcin należy właściwie do prawa prywatnego, a nie do prawa kościelnego.

Wyróżniony przez państwo, kościół angielski dosyć nikły ma wpływ na społeczeństwo. Tylko w Anglji właściwej cieszy się przewagą wpływów nad radykalniejszemi sektami protestanckiemi, do których znów należy rząd dusz w Walji, Szkocji i północnej Irlandji. Ale i w Anglji na trzydzieści pięć miljonów mieszkańców przypadają niespełna trzy miljony praktykujących wyznawców kościoła narodowego. Większość obywateli Zjednoczonego Królestwa wyzbyła się już wogóle żywszych uczuć i zainteresowań religijnych, wszystkie klasy bowiem przyswoiły sobie ducha cywilizacji materjalistycznej.

Zjawiskiem nieprzewidzianem, które podważyło tradycyjny ustrój kościoła angielskiego, okazał się ruch ku odrodzeniu religijnemu właśnie wśród warstw oświeconych. Kościół angielski w kwestjach dogmatów i liturgji zajął stanowisko niejako pośrednie pomiędzy protestantyzmem radykalnym, a katolicyzmem rzymskim, od którego się był oderwał. Zrazu dążenia do reformy zmierzały raczej ku dalszej protestantyzacji, przedewszystkiem ku usunięciu szat kościelnych, świec na ołtarzu, obrazów i figur kościelnych i t. d. Ale niebawem zwróciły się w kierunku wręcz przeciwnym i postępując, sprawiły, że część duchowieństwa oddaliła się w zakresie liturgji od przepisów starej ustawy o Mszale (*Prayer Book*) z 1662, a zbliżyła nieco do starego wzoru katolickiego. Część duchowieństwa, dodajmy, bezspornie najżarliwsza wiarą i najbardziej w życiu prywatnem wzorowa. Spór zaostrzył się niepomiernie przez to, że wspomniany odłam kleru (t. zw. *High Church*, albo *Anglo-Catholics*), uznając Tajemnicę Przeistoczenia, zaczął praktykować przechowywanie Sakramentu Ołtarza i zachęcać do oddawania czci publicznej, co już wogóle niezgodne było zarówno z duchem, jak z doktryną protestantyzmu i uwydatniało różnicę poglądów zasadniczą, bo w kwestji dogmatycznej. Istnieje jednak zapatrywanie, że w powyższej kwestji różnica zdań istniała od początku w kościele anglikańskim, który, będąc w założeniu swojem oparty na kompromisie, stara się w obrębie jednego rytuału zespolić przedstawicieli rozbieżnych całkowicie poglądów dogmatycznych. Znany pisarz i historyk angielski, Belloc, porównywa kościół angielski do paryskiej Sorbony.

Wytworzyła się zatem różnica praktyk i wierzeń, wobec której sądy duchowne okazały się zupełnie bezsilne, poróżnili się bowiem w poglądach nietylko duchowni niższych stopni, lecz i biskupi, od których zezwolenia zależy wszczęcie postępowania karnego przed sądem kościelnym. Powołana została zato Komisja Królewska do spraw dyscypliny kościelnej (*Royal Commission on Ecclesiastical Discipline*), która w roku 1906 przedłożyła parlamentowi swój raport, zlecając załatwienie kwestji na drodze ustawodawczej, przez wprowadzenie odpowiednich zmian do Mszału (*Prayer Book*) z r. 1662. Czynniki kościelne, odpowiednio upoważnione przez rząd, zebrały się do pracy nad zmodernizowaniem *Prayer Book*, pracy najeżonej trudnościami wskutek konieczności poszukiwania formuł kompromisowych. Lecz po dwudziestu latach kompromis stanął, i zgromadzenie kościelne przedłożyło parlamentowi projekt nowego Mszału do zatwierdzenia. Wypada dodać, że sam parlament odebrał sobie w r. 1919 (przez t. zw. *Enabling Act*) prawo wyprowadzania poprawek do projektów prawa kościelnego, ograniczając swoją kompetencję li tylko do ryczałtowej aprobacji lub negacji.

.Zamierzona reforma „*Prayer Book*“, jako dotycząca także praw i obowiązków osób świeckich, wymagała sankcji ciał ustawodawczych — jakże mało ukwalifikowanych do podejmowania rozstrzygnięć w tej materji! Absurd bił w oczy. Izby ze znakomitą większością członków zupełnie obojętnych na sprawy religijne, wytrenowanych w myśleniu kategorjami najczęściej klasowemi i gospodarczemi,—posiadając zresztą także fanatyków radykalnego protestantyzmu, pochodzących z okręgów walijskich, szkockich lub północno-irlandzkich, a pozatem również żydów lub komunistów — miały przesądzić sprawę w stylu średniowiecznym, sprawę liturgji i wierzeń zrzeszenia religijnego — Kościoła Anglji. Lecz zdawało się z początku zwolennikom reformy, że puszczanie tej sprawy na flukty debat parlamentarnych nie przedstawia niebezpieczeństwa, bo z rozmów przedwstępnych wynikało, że większość jest za reformą. Projekt przeszedł gładko przez izbę lordów, uchwalony ogromną większością głosów. W obu izbach dyscyplina partyjna przy głosowaniu nie obowiązywała, podzieliły się w dyskusji także głosy ministrów.

Debaty w izbie gmin otworzyło przemówienie ministra marynarki, admirała Bridgemana, który nawoływał do przyjęcia projektu, odżegnywając się jednak od wszelkich sympatyj dla średniowiecza i Kościoła rzymskiego, wywodząc natomiast, że tylko przyjęcie uchroni kościół angielski przed rozpanoszeniem się beznadziejnego chaosu. Mówca przejęty był ważnością sprawy, lecz nie miał dnia szczęśliwego. W pewnem miejscu, wyraziwszy się niezręcznie, dotknął różnowierców angielskich, — i przemówienie, które miało utorować drogę reformie religijnej, utknęło, zasypane gradem okrzyków: „odwołać, odwołać“. Ten moment psychologiczny wyzyskany został przez ministra spraw wewnętrznych, Joynson-Hicksa, który przemawiał z ko-

lei, jako naczelny mówca opozycji. Sam przekonany protestant, potrafił zagrać na instynktach protestanckich, malując zgrozę liturgji rzymskiej i potworność nawrotu ku poglądom średniowiecznym. W sposób niezbity wykazał, że projektowana reforma dotyczy nietylko obrządku, lecz i dogmatów. Namiętna ta oracja porwała szereg niezdecydowanych, co dotąd przechylali się sympatjami ku zwolennikom reformy. Niebawem umocniła ich w nastroju opozycyjnym płomienna i gwałtowna, niczem kaznodziejstwo dawnych szermierzy protestantyzmu, mowa posła Mitchela z partji pracy, który zaklinał do wytrwania na stanowisku bezkompromisowo-protestanckiem, ukazując jedną tylko alternatywę: Rzym, albo reformacja. „Jeśli Kościół angielski chce do Rzymu — to niech go Bóg prowadzi, ale jeśli nie chce — to niewolno zatwierdzać nowego Mszału, bo ten w jedno pokolenie przerobi całą Anglję z protestanckiej na rzymsko-katolicką... Niech Kościół angielski będzie czem chce, ale nigdy nie ostoi się, rozdzielony sam przeciw sobie. Nie wierzę, aby na stałe mógł pozostać pół-reformowanym, półrzymskim. Albo jedno, albo drugie. Niech Kościół sam wybiera, a nie przerzuca tego obowiązku na parlament. Jeśli to czyni, to ja, mocny, przekonany, zdecydowany protestant mogę głosować tylko przeciw ustawie. Nie chciałbym — lecz muszę — tak mi dopomóż Bóg!". Po przemówieniu kobiety, posłanki Iveagh, wystąpił z logicznem przemówieniem Sir John Simon, liberał, opowiadając się przeciw projektowi.

Efektu tych przemówień nie odrobili Lord H. Cecil i Sir M. Conway, którzy cały wysiłek włożyli w dowodzenie, że w kościele anglikańskim jest miejsce dla różnych poglądów.

Od całości debat odróżniło się przemówienie premjera Baldwina, który wzywał do uchwalenia projektu, wychodząc nietyle z przesłanek religijnych, ile dobra narodowego. W razie odrzucenia projektu kościołowi angielskiemu grozi rozbicie. „Ostatecznie zamiast jednego ogarniającego szeroką sferę zrzeszenia powstałoby zrzeszeń parę. Zapytuję siebie: czy to wyszłoby na dobre życiu religijnemu naszego narodu? i zmuszony jestem odpowiedzieć: „Nie!" Na zasadnicze pytanie: jak głosować, aby się przysłużyć sprawie religijnego życia narodu? — sumienie moje każe mi odpowiedzić decyzją: głosować za projektem!"

W rezultacie projekt został odrzucony większością 35 głosów, i kościół angielski stanął wobec sytuacji, z której jedynem wyjściem pewnem byłoby uniezależnienie się od państwa, czyli wyrzeczenie się stanowiska kościoła oficjalnego. Właśnie premjer Baldwin położył na tę możliwość szczególny nacisk we wspomnianem przemówieniu, przewidując ją, jako nieuchronne następstwo odrzucenia projektu przez parlament.

Narazie jednak biskupi angielscy obrali taktykę ostrożną (jak przystało na nominatów ministerjalnych), żądając ponownego rozpatrzenia projektu przez ciała ustawodawcze.

Samo głosowanie z dnia 15 grudnia nie posiada oczywiście wagi politycznej, Lecz że kościół angielski wydobył się z dawnej bierności i apatji, że przeżywa fazę głębokich zainteresowań religijnych, że te sprawy poraz pierwszy od stuleci wysuwają się na czoło spraw bieżących w obradach parlamentu, że wreszcie uwydatnia się ostry konflikt, i projekt kościoła przepada w debatach parlamentu — to wszystko są elementy sytuacji nowej i znamiona, których dawniej nie brano pod uwagę przy ocenie życia, siły, charakteru, znaczenia politycznego społeczeństw anglosaskich. Społeczeństwa — bo cały szereg analogicznych objawów kryzysu religijnego i ścierania się prądów zauważyć można także w Ameryce Północnej.

Gdy te *imponderabilia* weźmiemy pod należytą rozwagę, zgoła inny przedstawi się nam obraz położenia, niż ten, który wypada, gdy uwzględnimy jedynie pozycje, dające się umieścić w rachunku arytmetycznym. Czy, np. oceniając znaczenie polityczne Ameryki, mamy zwyczaj uwzględniać także i *imponderabilia*, czy raczej zwykliśmy patrzeć na przyszłość, mając jedynie na uwadze „kolosalny kontynent", „niewyczerpane bogactwa naturalne", „powszechny wzrost zamożności", „olbrzymi rozwój automobilizmu" i. t. d. Lecz *imponderabilia* z natury swojej działają, jako siły nieuchwytne, i rzadko kiedy w zdarzeniu konkretnem można wyraźnie dostrzec ślady tego działania i zorjentować się w napięciu sił, które w grę wchodzą.

Objawy kryzysu w kościele angielskim, wypływając przejściowo na powierzchnię życia politycznego, oznajmiają o doniosłych procesach, zachodzących w głębi.

WITOLD JERZY CHWALEWIK

ZAKŁAD NARODOWY IM. OSSOLIŃSKICH

(Dokończenie)

Z ODRODZENIEM Polski przestał istnieć przywilej Instytutu drukowania i sprzedaży książek szkolnych i skutkiem tego usunęła się najsilniejsza podwalina jego egzystencji, utrwalającej się lub utrwalonej od dłuższego czasu. Aby zapobiec wszelkiej możliwej z tego powodu klęsce, za inicjatywą kuratora dyrekcja Zakładu podjęła dawniej już kilkakrotnie stosowną próbę wydawnictw, która niestety zawodziła. Dopiero usiłowaniom ostatnim, którym kuratorja i Dyrekcja poświęciły wiele starań i trudu, powiodło się, przy czynnem poparciu pierwszorzędnych przedstawicieli nauki i literatury, a przy życzliwem współprawnictwie organów administracyjnych, stworzyć na wielką skalę pomyślane wydawnictwo o zakresie nie wykluczającym wprawdzie wskazań Ossolińskiego, ale daleko poza granice ich idącym, uprawia bowiem nietylko gałąź historyczną i bibljograficzną, ale schodzi na możliwe szerokie pole piśmiennictwa naukowego i literackiego.

Dzięki okolicznościom przedstawionym Zakład przyczynił się znacznie do wielostronnego wzmożenia życia kultury duchowej i materjalnej, dał bowiem sposobność autorom do spełnienia swych aspiracyj i urzeczywistnienia pomysłów, skutkiem czego przysporzył literaturze narodowej wiele pozycyj, niemożliwych do wykonania jednostce czy przedsiębiorcom, nie rozporządzającym środkami należytemi, ożywił dalej zamierający coraz bardziej w Polsce ruch książki przez podniesienie

handlu księgarskiego, zakładając swoje własne oficyny we Lwowie, Krakowie i Warszawie, lub przynajmniej swoje składy główne po innych większych miastach polskich; podniósł nakoniec znacznie sztukę drukarską i drukarski przemysł, gdy bowiem skutkiem zwiększenia się przedsięwzięć wydawniczych typografja dotychczasowa okazała się niewystarczająca, trzeba było warsztat jej rozszerzyć tak dalece, że obecnie skupia ona w sobie trzy drukarnie, należy do największych w swoim rodzaju przedsiębiorstw i we Lwowie i w Polsce, i daje rękojmię, że zwiększy się w niedalekiej przyszłości o nowe a bezwarunkowo niezbędne oddziały sztuki drukarskiej i graficznej, tak, że książka, z Zakładu i pod firmą Zakładu w świat wychodząca, w całości i najdrobniejszych szczegółach jego produktem będzie.

Usiłowaniem sfer rządzących Instytutu ostatnich czasów, dobiegających zaledwie ćwierćwiecza a pod względem prawdziwie doniosłych rezultatów ograniczających się prawie w zupełności do lat po ustaniu wielkiej wojny, udało się dokonać rzeczy wielkiej, o której Ossoliński tylko marzył kiedyś i ustalenia życia i bytu Zakładu Narodowego — ustalenia bytu tych, co poświęcają mu swą pracę, tj. urzędników i rozmaitego rodzaju pomocników, którzy od lat kilkunastu zdobywszy prawo do pobierania emerytury, obecnie mają utrzymanie zgoła odmienne, niż ongiś, i skarżyć się już nie potrzebują, iż pod względem stanowiska materjalnego idą po funkcjonarjuszach wszelkich innych kategoryj.

Tak zwyciężyła zasada samowystarczalności Zakładu, którą tylko w teorji mógł kiedyś wyznawać jego twórca, ale bezwzględną i zupełną jeszcze do dnia dzisiejszego się nie stała, wobec dwóch faktów: wielkiej (może się to wydać paradoksem) życzliwości społeczeństwa, przedewszystkiem własnego, a także— i to nie wyjątkowo—obcego, tudzież świadomości wysokiego przeznaczenia i szczytnej służby dla dobra duchowej kultury nie tylko polskiej, ale także przy dzisiejszej niezależności politycznej Rzeczypospolitej — można powiedzieć bez przesady — światowej.

W czasach jeszcze, w których bibljoteka Ossolińskiego znajdowała się w Wiedniu, rozgłos, jaki miały kolekcje bibljofila polskiego, zwracał na nie uwagę szczególnie polskich studentów, bawiących tam na studjach uniwersyteckich czy innych, którzy zasilali je rozmaitemi książkami. Od tej chwili rozpoczęte obdarowywanie książnicy zwiększać się zaczyna ze sprowadzeniem jej do Lwowa (1827 r.),—odtąd źródło ofiarności, otwarte szczęśliwą ręką pierwszych darczyńców, wzbiera coraz bardziej, tak, że z biegiem czasu przemienia się w głęboki i szeroki strumień i hojnością swoją zalewa dosłownie Instytut zarówno w dziale bibljotecznym, jak muzealnym. Dzięki przedewszystkiem hojności niezrównanej i pamięci najżyczliwszej ogółu Bibljoteka Ossolińskich poza najwcześniejszemi a ważniejszemi darowanemi zbiorami czyto im. xx. Lubomirskich czy Eugenjusza Brodzkiego, wzbogaciła się na podziw i rozrosła olbrzymio, wchłaniając w siebie bibljoteki: Skrzyńskich, hr. Stadnickiego, Straszewskiej z Florencji, królewski dar Jana Nargielewicza z Lttwy, Romana x. Sanguszki, Zdzisława i Stefana xx. Lubomirskich, Stefanji Czaykowskiej, Eleonory x. Lubomirskiej, hr. Badenich i wreszcie, by nie wyliczać innych drobniejszych, imponujące ilością i jakością zbiory Pawlikowskich, znane zaszczytnie pod nazwą medyckich. Należy nakoniec wspomnieć z podkreśleniem specjalnem, że społeczeństwo polskie, rozumiejąc posłannictwo kulturalne takich dzieł, jak Ossolińskiego, i jakby spełniając jego życzenie, wyrażone w „Ustanowieniu familijnem“ z r. 1816 a powtórzone w „Akcie dodatkowym“ z r. 1824: „iż każdemu wolno... przedmioty naukowe, jakieby mu się podobało, w składzie Bibljoteki... umieszczać, i tu z wdzięcznością przyjmowane oraz, z zapewnieniem czyniącym ojczyźnie i naukom ofiary całej chwały, wiernie dochowane będą...“, z całą ufnością bądź w darze, bądź pod formą depozytów wieczystych oddało pod opiekę Ossolineum swoje zbiory, szczególnie zaś archiwa i bogate zawartością i ważne treścią, jak z czasów przedwojennych prym między niemi dzierżące archiwum xx. Sapiehów z Krasiczyna i obok niego idące archiwalja: Drohojowskich, Grabowskich, Hohendorffów, Lubomirskich, Mniszchów, Ossolińskich, Stadnickich, Wasilewskich, Wybranowskich, — z doby powojennej zaś: Chrzanowskich, Jabłonowskich, Włodzimierza Kozłowskiego, Luba-Radzimińskich, Skarbków i t. d.

Ilustracją wzrostu niech będą cyfry, które najwymowniej w takich razach przemawiają. Oto w r. 1827, w którym zbiory Ossolińskiego przewieziono do Lwowa, fundacja w całości liczyła: dzieł drukowanych 10.121 w 19,055 tomach, rękopisów 552, map 133 i rycin 1.445, — w r. zaś 1927, t. j. w sto lat później, liczy (wraz ze zbiorami Pawlikowskich): dzieł drukowanych 193.560 w około 500.000 tomów, rękopisów skatalogowanych 5.928, nieskatalogowanych ponad 2.500, map 3,001, rycin 53,475, czyli — nie mówiąc o działach przed wiekiem nie istniejących—w zakresie ilości dzieł drukowanych zwiększyła się ponad 19 razy, w zakresie tomów ponad 25 razy, w zakresie rękopisów, wśród których wzrost z natury rzeczy musi być powolniejszy, ponad 15 razy, a w zakresie rycin 37 razy.

Zjawisko podobne daje się zauważyć co do Muzeum xx. Lubomirskich, które według współczesnego zestawienia, dokonanego przez ks. Franciszka Siarczyńskiego, miało w r. 1828 około 8.500 numerów przedmiotów archeologicznych i pamiątkowych, dzieł sztuki malarskiej i rzeźbiarskiej, rycin, monet i medalów, rzeczy przyrodniczych i in., obecnie zaś doszło do liczby 57.354 czyli zwiększyło się siedmiokrotnie.

Drugim, obok zaznaczonego dopiero co faktu, jest działalność Instytutu, spełniającego kulturalne posłannictwo wobec społeczeństwa. W epoce absolutyzmu austrjackiego, który sposobami bardziej wyrafinowanemi, niż barbarzyństwo rosyjskie w Królestwie i — co więcej — znacznie od niego dłużej, gniótł życie polskie w b. Galicji, Ossolineum było przybytkiem, w którym Polak zaboru austrjackiego, walczący o prawa moralne z niemieckością, znajdował siły świeże,—spełniało zadanie wychowawcy patrjotycznego i oświeciciela szerokich warstw, utrzymując dla nich doskonale zaopatrzone czytelnie lub myśląc o wprowadzeniu w życie takiej instytucji, jaką później stały się Towarzystwa oświaty ludowej;—świadczyło wreszcie na innych polach wiele dobrego, które sprawiedliwie i należycie osądzą dzieje kultury społecznej i umysłowej nie samej tylko b. Galicji;—w czasach nowszych natomiast, konstytucyjnych, i najnowszych — za odrodzonej już Polski, rola Ossolineum z konieczności uległa pewnej zmianie. Wiele zadań z rąk jego—rzecz naturalna — przejść musiało w ręce inne, ale należy zaznaczyć, że

o ile w pewnym względzie zostały one ograniczone, o tyle w innym rozszerzyły się nadmiernie. Stało się to mianowicie w dziedzinie, w której działalność Ossolineum objawała się i objawia najistotniej, t. j. jako Zakładu, powołanego do życia celem dostarczenia środków i pomocy wszystkim, którzy szukają ich u niego dla pracy duchowej. Jeśli dzisiaj już niewątpliwem jest, że w przeszłości cały dorobek w obrębie naukowej i literackiej twórczości Galicji miał początek i ognisko skupiające w siedzibie fundacji im. Ossolińskich, to do pewnej przynajmniej granicy sprawiedliwość nakazuje odnieść to także do całej Polski, która tutaj przez wybitnych przedstawicieli swojej umysłowości znajdowała miejsce wymarzone do pracy i środków niewyczerpane bogactwo do jej wykonania, mianowicie w zakresie literatury, historji politycznej i oświecenia narodowego,—o czem pouczają dokładnie coroczne „Sprawozdania z czynności Zakładu Narodowego im. Ossolińskich".

Ograniczając się tylko do ruchu, będącego miarą służenia przez Ossolineum społeczeństwu, w t. zw. pracowni naukowej, która istnieje od r. 1870/71, a przeznaczona jest dla czytelników uczonych i literatów, wogóle zaś dla badaczy poważnych, dochodzi się do wyniku, że gdy w pierwszym roku istnienia w lokalu tym wydano do użytku 955 osób: 43 rękopisów i 1.600 dzieł drukowanych, to w 56 lat później, t. j. w r. 1926, pracujących było 15.780, dla których wydano 2.073 rękopisów, 28.646 dzieł drukowanych, czyli liczba pracowników zwiększyła się ponad 16 razy, rękopisów ponad 48 razy, dzieł zaś ponad 17 razy!

Wobec omówionych dwóch faktów: z jednej strony nadzwyczajnego wzrostu zbiorów bibljotecznych i muzealnych, głównie za sprawą ofiarności publicznej, z drugiej zwiększenia się frekwencji osób poważnie pracujących, która jest niewątpliwym wykładnikiem wmożeniu się dążeń duchowo-kulturalnych i niezwykłego wzniesienia się poziomu umysłowego, zasada samowystarczalności została ze względu na przyszłe a bezwzględnie konieczne rozszerzenie Instytutu — zachwiana. Jeśli Kuratorja literacka, właściwa i bezpośrednia kierowniczka i opiekunka Zakładu Naukowego świądoma swego stanowiska, po długich staraniach i usiłowaniach zdołała w sposób pewny uładzić jego stosunki materjalne i na pewnej postawić je podwalinie, to dzisiaj widzi przed sobą nowe a również ważne zadania, domagające się gwałtownie załatwienia. Już z chwilą sprowadzenia do Lwowa zbiorów Ossolińskiego a później Lubomirskich wielu z tych, co mieli ostatecznie do skutku doprowadzić zamysły rozległe fundatora, wydawało się nieraz, że budowle pokarmelitańskiego klasztoru i kościoła nie na długo wystarczą, aby być siedliskiem dla bezcennych skarbów i miejscem stosownem do pracy dla publiczności. Obecnie stało się rzeczą niewątpliwą, że Zakład stoi przed katastrofą braku miejsca, które nie tylko zaczyna być, ale jest już tak samo tragiczne, jak niegdyś tragiczną była niezgodność między wielkiemi celami fundacji a małemi jej środkami materjalnemi. Ossolińskich Zakład, jako instytucja narodowa, której siedzibą Lwów, była i jest nietylko jedną o placówek najwyższej, bo duchowej kultury, ale także twierdzą polskości na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej, z tego powodu też nie wolno mu zapominać o podwójnej, jaką ma zawsze spełniać, roli. Do jednej z nich, moralnej i społecznej, tytuł dały mu długich lat praca i dodatnie jej wyniki, nakazując widzieć zawsze w fundacji Ossolińskiego czynnik wielkiej wagi i powagi, trzymający niejako ręce na kulturalnych poczynaniach, do których w chwili obecnej należałoby zjednoczenie wszystkich polskich towarzystw naukowych i literackich we Lwowie i Wschodniej Małopolsce pod jednym dachem, tem bardziej, że nie znalazłoby się chyba żadne między niemi, któreby nie chciało stać pod orędownictwem wiekowej Instytucji. Spełnienie roli drugiej ciąży na Ossolineum jako na skarbcu duchowych zasobów Polski i ludzkości i jako na składnicy pamiątek narodowych. Jak wszystkie księgozbiory i muzea publiczne są jedynemi w swoim rodzaju przybytkami nauk i sztuk w pojęciu narodów, które je mają, takim samym przybytkiem było i być nim nie przestało do dzisiaj Ossolineum i w coraz wyższym stopniu stawać się nim powinno w przyszłości dla Polski. Zapominać nie wolno, że teren jego zaczyna być obecnie miejscem zbornem nie tylko, jak dawniej, głównie Polaków zaboru austrjackiego, ale Polaków wszystkich, intelektualnie pracujących, — że zaczyna niem być dla wszystkich obcych, oddających się badaniu kultury, literatury i historji polskiej, i to w liczbie znacznie większej, niż w okresie niewoli politycznej, — że nakoniec do wszystkich, szukających światła w jego muzeach, musi w sposób, wolę i wyobraźnię podbijający, przemawiać wielkość, wspaniałość i powaga wiekowa Zakładu Narodowego. Aby oba powyższe zadania spełnić, aby mianowicie odpowiedziec swemu istotnem i właściwemu przeznaczeniu, Ossolineum musi otrzymać pomieszczenie, godne wielkiej idei i myśli, które przedstawia, — musi starać się o rozszerzenie przestrzenne, o czem myślał już w roku 1835 poważnie, choć bezskutecznie, Henryk x. Lubomirski, musi dążyć do tego, aby jako bibljoteka i muzeum zdobyło tyle sił zasobnych, iżby o wzroście swoim mogło myslec bez zastrzeżeń i stać się w całem tego słowa znaczeniu bogatym zbiorem rzeczy polskich, — tych, które świadczą o wielkości polskiego władztwa ducha i wyobraźni, — które wskazują naocznie zasobność i możność zarazem jego wzrostu i trwałości.

Kuratorja Ossolineum, nie zapominając ani na chwilę o swojem stanowisku, jego celach i zadaniach, a przedewszystkiem o obowiązku pamiętania o takiej przyszłości Instytutu, jaką przedstawiono, uprzytomnia sobie również katastrofę, grożącą mu w przyszłości najbliższej z powodu braku miejsca. W czasach najnowszych, po ciężkich doświadczeniach a długich staraniach, zdołano utrwalić byt Zakładu, opierając go na pewnych i — może Opatrzność pozwoli — niewzruszonych podstawach materjalnych, lecz również uświadomiono sobie, że tragicznego braku miejsca zabiegami samodzielnemi nie zdoła się uchylić, nie rozporządzając odpowiedniemi ku temu środkami. To też po stu latach od ucieleśnienia się zamiaru gorącej miłości i nieograniczonego poświęcenia się dla Ojczyzny wielkodusznego fundatora, — po stu latach chlubnej wobec społeczeństwa służby Zakładu, wolno mu chyba żywić nadzieję, że cały Naród i Rząd Najjaśniejszej Rzeczypospolitej otoczą go względami zasłużonemi i pomocą, — nadzieją, która spełnic się musi niewątpliwie, gdy ci, którym powierzono opiekę nad jego bytem i życiem, nie zejdą nigdy z drogi najżarliwszego patrjotyzmu, wskazanej przez Ossolińskiego, obywatelu o zdumiewającej ofiarności a wielkim sercu Polaka.

WILHELM BRUCHNALSKI

ZGASZENIE KRAJOBRAZU

W ARTYKULE p. t. „Zubożenie duszy“ (ob. nr. 23 z r. ub.), idąc za poglądami T. Lippsa, zaznaczyłem, że wczuwaniu się estetycznemu stanąć mogą na przeszkodzie „wyobrażenia sprzeciwne“. Przedewszystkiem jednak idzie mi o to, czy wyobrażenia intelektualne mogą na odczuwanie estetyczne działać pomocnie, czy słowem, idee w doznaniu estetycznem mieć mogą rolę pozytywną? Sądzę, że tak, i tu oddalam się od autora „Psychologji piękna i sztuki“. [1])

> „Uczuwszy woń róży, zapominam na chwilę, jakby w odurzeniu, żądz i smutków ludzkiej mojej natury, a powracam niby w te czasy, w których celem dla ducha mego było utworzenie piękności, a odetchnięcie wonią było mu jedyną ulgą w pracy i rozkoszą, a tak, o Panie, powracam niby na chwilę w dzieciństwo moje i przychodzi mi niby z otchłani genezyjskich wiatr otrzeźwienia i młodości — a napróżno mi, o Panie, nauka tłómaczyła ten fenomen przez działanie woni na zmysł powonienia; jam pytał o działanie zmysłu na duszę moją, która w uczuciu woni rozweselała się lub smętnieje“.

W doznaniu tem spostrzegamy następujące momenty—weźmy naprzód pod uwagę zdanie I: A) mom. czuciowy, woń róży, wrażenie o zabarwieniu przyjemnem, sprawiające pewne odurzenie; na tem mógłby ktoś poprzestać; ale tu zjawia się moment B) uczuciowo-wyobrażeniowy, który składa się z podmomentów: a) odurzenie wywołuje nastrój wielkiego odłączenia się od wszystkiego, co aktualne, nastrój jakby jakiegoś wielkiego oddalenia się od życia bieżącego: „zapominam“ żądz i smutków ludzkiej mojej... natury; tu przychodzi do głosu owa Lippsowska „jaźń idealna“, mamy do czynienia z wczuwaniem się estetycznem, ściśle w jego znaczeniu; ale poeta na tem się nie zatrzymuje; b) on to oddalenie się subjektywne umieszcza w kategorji czasu: on powraca niby w jakieś pradawne czasy—i tu koniec tego podmomentu, który nazywam semiintelektualnym; wcale niema konieczności aby to niejasne wyobrażenie ruchu w czasie, ku jakiejś dalekiej przeszłości, interpretowane było w taki sposób; c) „czasy w których celem dla ducha mego było“ etc.; to już zostało „dorobione“ do przeżycia estetycznego, jest czemś w stosunku do niego zewnętrznem; to jest moment intelektualny.

Ale przypatrzmy się zdaniu drugiemu:

Mamy tu schemat B,a (powracam niby na chwilę) + B,b (przychodzi mi niby z otchłani genezyjskiej) + B,a,A (wiatr orzeźwienia i młodości) + B,c (a napróżno mi nauka itd.). Środkowa część tego schematu (B,b+B,a,A= „przychodzi mi niby z otchłani genezyjskich wiatr orzeźwienia i młodości“, jest kulminacyjnym punktem ekspresyjnym całego ustępu, tu w sposób bardzo zwarty występują wszystkie momenty doznania: jeśli orzeźwienie i młodość są wyrazami dobrobytu fizycznego, to „wiatr orzeźwienia“ jest wyobrażeniem nawskroś estetycznem, jest wczuwaniem w swój stan danego dobrobytu fizycznego siły sprawiającej go, działania, ruchu; a równocześnie w i a t r ten wyobrażony jest jako dążący z nieskończonej oddali, która to „nieskończoność“ jest podłożem i odrazu wyrazem nastroju szczególnego, który niewątpliwie jest wybitnym czynnikiem piękna doznania—a z drugiej strony „nieskończoność“ ta jest przejściem bezpośrednim do interpretacji ideowej; być może, a nawet napewno, gdyby nie ta interpretacja ideowa, to wyrażenia o otchłaniach (genezyjskich), nie byłoby tutaj: moment estetyczny *sensu stricto*, za pośrednictwem momentu semi-intelektualnego, otrzymał od momentu intelektualnego swoją f o r m ę, która wpłynęła nań n a t ę ż a j ą c o.

I wogóle, stwierdzić trzeba, iż składniki intelektualne przeżyć (estetycznych, etycznych, religijnych itp.) grają rolę odczynnika w roztworze przesyconym, naczynia, udzielającego kształty pewnej ilości cieczy — słowem rolę ustalającą, utrwalającą rozlewny materjał uczuciowo-nastrojowy. I dlatego jeśli skrajny intelektualizm w sprawach życia duchowego, czy to w znaczeniu negatywnem czy pozytywnem, oznacza zawsze niedowidztwo duszoznawcze — to skrajny antyintelektualizm jest rysem jakiegoś braku charakteru.

Ale pytanie następne, dla nas tu bardzo ważne: czy takie przebiegi estetyczne, jak powyżej zanalizowany, są odwracalne, to znaczy, czy pod wpływem interpretacji ideowej danej z zewnątrz i z góry (od opinji intelektualnej lub od własnych rozmyślań), doznanie estetyczne ulec może wzmożeniu?

I tu odpowiem twierdząco: wobec tego ideom w życiu estetycznem przypadnie też rola komunikatywna, ewokatywna.

*

Mały eksperyment. Widzimy igrające zwierzęta; przypatrujemy im się z bezinteresowną sympatją (praktyczną) i powtarzamy mimowolnie w duszy ich skoki, giętkie ruchy, weselimy się razem z niemi — i to jest odczuwanie estetyczne w znaczeniu ścisłem, Lippsowskiem. Ale teraz, starajmy się wyeliminować z naszej świadomości ich nazwy, starajmy się zapomnieć, że to są psy, koty, źrebaki etc., a spróbujmy wyobrazić je sobie jako poprostu jestestwa żywe, a zarazem na tę samą platformę ogólną jestestw żywych przenieśmy siebie; czyli raczej zapomnijmy o tych

---

[1]) Idzie mi o to mianowicie, czy w doznaniu estetycznem grać może rolę, i to pozytywną, przekonanie o rzeczywistości objektywnej życia odczuwanego w przedmiotach estetycznego oglądu. Lipps sprzeciwia się temu stanowczo; wyobrażenia sprzeciwne — (np. radości, którą wczuwam w jakiegoś człowieka, naprawdę w nim niema) — niszczą wczuwanie się. Ale to przez to tylko, że się wogóle stawia kwestję rzeczywistości; doznaniu estetycznemu kwestja ta wogóle jest całkiem obcą, jeśli się jawi, to po to tylko, aby je rozproszyć: blok marmuru, przedstawiający kształty ludzkie, przez to, że życie, które w nim odczuwamy nie jest rzeczywistem, bynajmniej nie jest mniej albo więcej p i ę k n y m; „estetyczną idealność“ oznacza nie to, że życie przedmiotu, jest lub nie jest rzeczywiste, ale to tylko, że przy oglądaniu estetycznem kwestja rzeczywistości pozostaje w sferze całkiem odrębnej. Przedmiot estetyczny ulega „estetycznej izolacji“, to znaczy jest „absolutnie oddzielony od wszystkiego, co p o z a t e m posiada lub posiadać może dla mnie i d e a l n ą egzystencję“, więc od świata „myśli, fantazji, marzeń, reminiscencyj kiełkujących i t. d.“. — Nie czuję się przekonany wywodami Lippsa w tym względzie; wynikałoby bowiem z nich, że „sympatja estetyczna“ niema nic wspólnego z „sympatją praktyczną“ (L. rozróżnia między „wczuwaniem estetycznem“ a „praktycznem“)—tymczasem jest faktem notorycznym, że ta ostatnia wysoce ułatwia i podnosi natężenie pierwszej, dorównanego wczuwania się w życie przedmiotu: nietylko człowiek ukochany jest prześwietlony wyrazem jedynym i pięknym, ale i przedmiot ulubiony ulega „przeczłowieczeniu“, (o którem Lipps tyle mówi), w stopniu znacznie wyższym, niż przedmiot obojętny. Jeśliby zresztą logiczna analiza tego faktu pozostawiła doznania owe nadal w sferze estetycznej izolacji — to nie mniej faktem pozostanie, że ten wzgląd w pewnem znaczeniu „interesowny“, jakiem jest sympatja praktyczna, u ł a t w i a sympatję estetyczną, a to z a p o ś r e d n i c t w e m w i ę k s z e g o s k u p i e n i a u w a g i. I to jest dla mnie tutaj z praktycznego punktu widzenia ważne. Nadmieniam wreszcie, że gdy idzie mi o przekonanie o rzeczywistości objektywnej życia psychicznego, wczuwanego w przyrodę (nb. żywą przedewszystkiem), to 1⁰) idzie mi nie o przekonanie abstrakcyjne, czysto intellektualne, ale o p o c z u c i e rzeczywistości, 2⁰) odróżniam sprawę działania psychologicznego swego poczucia od metafizycznej kwestji, czy poczucie to jest uprawnione, czy wyraża prawdę.

zwierzętach, że to są zwierzęta, a wyobraźmy je sobie jako osoby, jako *sui generis* „człowieczków" zaklętych w te kosmate, ogoniaste, igrające ciała. Cóż nastąpi?

Naprzód, w chwili tej pracy umysłowej nastąpi zmącenie kontemplacji estetycznej; jesteśmy bowiem poprostu czem innem zajęci; ale potem? Czujemy się rozśmieszeni, to prawda, widzimy przed sobą jakby jakieś potworki rasy ludzkiej, jakieś gnomy człekokształtne; ale zarazem odczujemy wybitnie odświeżenie naszego estetycznego oglądu zwierząt, lepiej dorównamy się subjektywnie do ich skoków i figlów, ich życie stanie się nam bardziej cenne — a to, widzieliśmy już, jest integralnym czynnikiem uczucia piękna.

Poważniejsze znaczenie ma idea „osobowości roślinnej";[2]) tutaj przeczłowieczenie ideowe odbyć się może na platformie bardziej ogólnikowej, niż w stosunku do zwierząt, z powodu, że i podobieństwo jest o wiele mniejsze, całkiem ogólnikowe, ale też—z tegoż właśnie powodu — i niema domieszki śmieszności (która należy do uczuć z pogranicza piękności i brzydoty). Natomiast zmiana wyglądu świata, zmiana pozytywna naszego wartościowania jest bez porównania większa. Nasze wzrastanie, dźwiganie się razem z potężnemi pniami poważnych, uroczystych drzew, precezyjne i subtelne dążenie i wyginanie się, zaokrąglanie się, wdzięczenie się, wraz z wykwintną i wesołą wyobraźnią gałązek, nasze misterne dzierganie się brzeżkami liści, nasze beztroskie, szalone zbytkowanie wraz z przehojnem, rozrzutnem, daleko poza bezpośrednią celowość „reklamy" przechodzącem bogactwem kształtów, barw i woni w kwiatach, najwdzięczniejszych dzieciach słońca i ziemi—to wszystko otrzymuje zupełnie nową cenę w świetle myśli, że tu jest jakaś prawda, że są one wyrazem osób, mających jakieś cele, jakieś wymarzone kształty przed sobą, a zarazem wolnych, może mylących się czasami, może czyniących coś niepotrzebnego niekiedy, może uprawiających „sztukę dla sztuki" w niektórych swych krokach, radujących się w przepychu i rozmaitości nieprzebranej form — dla samej tej rozmaitości i przepychu...

Lipps powiada, że doznanie estetyczne leży całkowicie „z tej strony pytania o rzeczywistości", — ale my w naszych doznaniach estetycznych nie jesteśmy w siódmem zachwyceniu, z uwagą absolutnie skoncentrowaną na jednym przedmiocie, jesteśmy owszem podlegli całej reszcie naszej psychiki; myśli, uczucie, wola nie uległy zawieszeniu; wprawdzie w kontemplacji estetycznej żyjemy wespół nawet z rzeczami, o których całkiem stanowczo jesteśmy przekonani, że nie posiadają żadnej objektywnej podmiotowości — ale zarazem pragnienie, aby w tem „życiu", które odczuwamy w przedmiocie, było coś „prawdziwego", „rzeczywistego", aby to nie było w nas tylko złudzenie — pragnienie to działa w nas, a ta myśl, to pragnienie rozprasza kontemplację, ale tylko na chwilę; gdy odpowiemy mu potakująco, aktem wierzenia pewnego, to tu nastąpi właśnie owo udzielenie formy rozpraszającemu się uczuciu przez moment wyobrażeniowo-intelektualny: myśl, że „to drzewo jest — naprawdę jest — osobą" w danej chwili, kiedy ją mam w centrum świadomości, nie ma wprawdzie nic, a w każdym razie bardzo niewiele z odczuwaniem drzewa w tenże sposób; ale kiedy powtórzyła się wielekroć, kiedy niejako weszła człowiekowi „w krew" i działa z pobrzeża świadomości, to chroni nasze uczucie życia danego przedmiotu przed rozpraszaniem się, przed wyobrażeniami sprzeciwnemi; a wreszcie cokolwiekbądź powiemy o zupełnej bezinteresowności objawu estetycznego, to jednak jako rzeczywiści pełni ludzie, zawsze jesteśmy na tyle przynajmniej interesowni, że znamieniu rzeczywistości przypisujemy szczególną wartość; a wartość ta w doznaniu estetycznem gra tę przynajmniej rolę pozytywną, — aczkolwiek nie rolę bezpośrednią — iż naszą uwagę estetyczną natęża myśl objektywnego życia psychicznego w przyrodzie, myśl, którą romantyk Uhland temi wyraził słowy: „powiadają nam, że człowiek tylko umieszcza własny nastrój w bezdusznej naturze — ale przecież on nic w przyrodę nie wniesie, jeśli ta ze swej strony nie wystąpi z podnietami, samodzielnie go pobudzając"...[3]) — myśl ta uznana być musi za wybitnie kalogeniczną; i to nie — podkreślmy raz jeszcze — jako działająca kazualnie, bezpośrednio, ale pośrednio ogólnikowo, z pobrzeża świadomości. Tu momentem intelektualnym jest np. sąd: „roślina jest osobą", sąd, do którego dojść można, tym czy owym sposobem, dyskursem czy wiarą, to tu jest obojętne. Dość że ten sąd z chwilą, gdy się w nas utrwalił, gdy stał się w nas czemś psychicznie konkretnem, staje się momentem semiintelektualnym — uczuciem życia osobowego, z którem już zgóry przystępujemy do kontemplacji estetycznej danej rośliny i która na tę kontemplację, harmonizując się z nią, działa stabilizacyjnie i intensyfikacyjnie.

Mylą się się np. urbaniści, formiści, konstruktywiści i inni „technicyści", jeśli na serjo sztukę swą uważają za „proletarjacką"... O ile są utalentowani, to utwory ich spodobają się koneserom; ale sztuką dla ludu jest — jak się słusznie wyraził ktoś, sam nie wierzący — to kazanie niedzielne, co ludzi, osowiałych od zmudy tygodnia, wstrząśnie i wzruszy Bogiem, szatanem, niebem i piekłem.

Jeden z nich, jako symbol „człowieka nad przyrodą", wyobraża sobie np. kolejkę zębatą na Mnicha, za chwilę jednak wspaniałomyślnie cofa ten postulat. Czyżby pojął, że z udogodnień takich korzystałby przedewszystkiem ów mieszczuch wygodny, którego on też nie lubi, a dla którego przyroda jest tylko jedną więcej fizjologiczną używką? Wprawdzie, nie bez słuszności, czyni on aluzję ironiczną do romantycznego „posągu człowieka na posągu świata" — ale za to sam między symbolami „człowieka nad przyrodą" proponując „kolejkę zębatą", musi też zgodzić się na tę nieubłaganie z poglądów jego wynikającą konsekwencję, że tą „kolejką" jeździłby właśnie ów „mieszczuch opasły, we własnej wygodzie widzący kryterjum wszystkich wartości".

(Dok. nast.) KAROL LUDWIK KONIŃSKI

---

[2]) Myśliciel tak poważny, jak William Stern do „osób" zalicza nawet kryształy. Oczywiście idzie o definicję czysto formalną. Kwestja podmiotowego wyglądu osobowości kryształnej czy roślinnej nie wchodzi zgoła w rachubę. Do wycieczek w tę stronę uprawniona jest tylko wyobraźnia artystyczna. Przy sposobności podkreślam, że Lipps rozróżnia stanowczo między przeczłowieczeniem estetycznem, ogólnikowem i mającem charakter konieczności, a przeczłowieczeniem mitologicznem, dowolną grą fantazji, (to drugie zresztą nie byłoby zrozumiałe bez pierwszego): i też rozróżnić należy między drzewem, jako najogólnej, ale zarazem bardzo specyficznie odczuwaną indywidualnością żywą, a drzewem wyobrażonem sobie, jako „wieśniaczka, która płacze"... I ja też, jeśli w dalszym ciągu zalecam „animistyczny pogląd na przyrodę", to na myśli będę miał odczuwanie jej w znaczeniu Lippsowskiem jako poczucie rzeczywistości.

[3]) Cytuje według znanego „uniwersalisty". Olmara Spahna „*Gesellschaftslehre*", (Lipsk 1923 str. 309, który Uhlanda przytacza z ostrzem zwróconem przeciwko Lippsowi, nie replikując zresztą psychologicznie — jak w nin. art. — lecz wyłącznie metapsychicznie.

DON KISZOT

FANTAZJA SCENICZNA WEDŁUG CERVANTESA

URYWEK I

DON KISZOT

Gdzieżem jest? Tak, poznaję: to mój własny dworek!
Świerszczyk gra za kominem... Ogień z trzaskiem gore.
Na ścianach cienie sprzętów. Błękitnieją szyby,
Jakby niebo tuż było za oknem sadyby,
Że mógłbym z samem niebem gwarzyć po sąsiedzku,
Jak mi się niegdyś w jasną noc marzyło, dziecku...
O wy, moje nad książką przepędzone noce,
Kiedy w sercu nadzieja lękliwie chroboce,
A w głowie cud za cudem z cudu się wylęga,
Okrąży świat, i wiąże z wszechświatem, jak wstęga.
Ileż razy nad książką mi się majaczyło,
Iż biję tłum pohańców, — a to serce biło!
Ileż razy, gdym machnął książką nakształt szabli,
Padali w proch pokotem djabli i nie djabli!..
— Teraz prawde marzenia zaświadczyłem czynem:
Z Maurem zniosłem niewolę, a rany — z Baldwinem,
Gdy, wyruszywszy w pole, zostałem rzucony
Pod podkowy olbrzymów armji rozjuszonej,
Łotra Pandofilanda zdradą przeobrzydłą...
(— Sanczo próżno bajdurzy, że to było bydło,
Któremu nieopatrzniem trafił pod racice! —)
Przysięgam: zemstę klęską olbrzyma nasycę!

(*Rozgląda się*)

Witajcie mi, rycerskich przygód księgozbiory!
U was szuka lekarstwa duch tęsknotą chory,
Z was, księgi, na mą bladość znów purpura padnie,
Wasza pieśń heroiczna ustami zawładnie,
A dusza bohaterów, w rytm poezji wryta,
Niech w mych ustach triumfem brzmi, lub bólem zgrzyta!
Co to? Ksiąg niema? Zgroza! Czyżby zemstę wściekłą
Zniszczeniem książek na mnie wywierało piekło?
— To czyn Pandofilanda z czarnoksięską bandą!
To on! Znów mi urąga! Giń, Pandofilando!

URYWEK II

DON KISZOT

Wolność, wolność! mój bracie. Tylko jej nam trzeba,
Szczęsny, kto winien niebu wdzięczność za dar nieba,
Lecz niczego nie żąda od ludzi i świata...

SANCZO

Rety! Któż jegomości twarz tak pocharatał?

DON KISZOT

Gdyś odjechał, spotkała mię wymówka cierpka
Księżnej, żem smutny. Mówię: brak mi mego giermka.
A księżna: — trójca panien niech ci wzamian służy,
Są jak róże... Ja na to: — och, kolcami róży
Raniłyby wiernego Dulcynei ducha!
Nic, co żeńskie, nie wejdzie do mnie, nawet mucha!
Zamknięte drzwi sypialni niech będą zaporą
Między mną, a żądzami, które we mnie gorą!

SANCZO

Mnich z pana! Ja z kogutów, co pieją weselej!

DON KISZOT

Czarodzieje na cnotę mą parol zagięli: —
Noc... Śpię z pończochą na łbie, bo mnie bolał djablo...

SANCZO

Pamiątka po wiatraku, coś go pan dźgnął szablą.

DON KISZOT

Budzę się, bo klucz w zamku podejrzanie zgrzyta...
Myślę: że skrytobójca, widmo, lub...

SANCZO

Kobiéta!

DON KISZOT

Zgadłeś: bym milczał, ręką daje znak podwika...

SANCZO

Rad djabeł w te anielskie rączki ogon wtyka.

DON KISZOT

Rozpoznałem w zjawisku, gdy podeszło bliżej,
Panią Rodrigez.

SANCZO

Rety! Bable szósty krzyżyk.
Oj, nie rychło, Marychno, po śmierci wędrować!

DON KISZOT

W tym wieku najgroźniejsza bywa białogłowa,
Bo nie mogąc nic stracić, chce wiele odzyskać.
Zesztywniały, uczuwam, że zguba jest bliska,
A w mózgu tabun myśli harcować zaczyna:—
Wstyd będzie, gdy zrabuje mi ta starowina
Wierność, com ją od młodych królewien uchował...

SANCZO

Racja, strzeż się pan wdówek, — szachraj każda wdowa!

DON KISZOT

W popłochu, kuso odzian, z pod kołdry się zrywam...
Ona w krzyk i... w objęcia padła mi pół-żywa;

SANCZO

Wiadomo: w starym piecu zawsze djabeł pali!

DON KISZOT

Szczypię w nos, cucę, sadzam od siebie najdalej...
Wreszcie bąkam, siarczyste czując ciarki w krzyżu:
— Ja nie z marmuru, pani nie jesteś ze spiżu, —
Pilnujmy się, bo licho nie śpi nocną porą.

SANCZO

To w gruncie miało znaczyć: niech cię djabli biorą!

DON KISZOT

Babsko uparte, jak deszcz, gdy od trzech dni pada,
O niczem wszystko ciurkiem gada, gada, gada!
Gada, — choć grożę, gada, — choć proszę najczulej...
Nareszcie ja do okna i w jednej koszuli
Hyc! — aż z dwuch pięter na łeb skaczę tak, jak stoję.
Zmilkła, lecz na łeb z góry cisnęła mi zbroję.

(*Wskazuje ślady na twarzy*)

To są skutki próżniactwa na książęcym dworze.

SANCZO

Ja także o amorach mniej myślę, gdy orzę.

DON KISZOT

Spójrz, Sanczo, na wierzchowce z tamtej strony wzgórka:
Rossynant długą szyję zwiesił przez kark burka,
Który półmordziem czule po boku go wiska...
Para bydląt jest teraz człowieczeństwa bliska: —
Któż nie krzyknie na widok ich przyjaźni błogiej:
— Z ogoniastym Piladem — Orest czworonogi!
Po duchocie zamczyska, jak mi w polu rzeźwo!
Ceń wolność, Sanczo!

SANCZO

Pańskie nauki są mierzwą,
Co użyźnia jałowy umysł w głowie mojej!

URYWEK III

DON KISZOT

Noc umie stąpać cicho i niepostrzeżenie,
Na mrocznem ciele nocy bicze gwiazd się złocą,
Splotły się z cieniem czarnym szczęścia jasne cienie,
I co noc miłość bierze zaślubiny z nocą.

Już księżyc, — książę nocy, — w przestworzach migoce,
— Księżyc, senne marzenie ziemi ociemniałej;
Tem jaśniejszy, im głębiej zanurzon w pomroce,
Gdy noc jemu, on nocy chce się oddać cały.

Ja, stojąc oko w oko i tarcz w tarcz z miesiącem,
Widzę cuda tęskoty, co się w niebie dzieją:
Księżyc jest Don Kiszotem, a noc — Dulcyneją,
Dulcyneją w olśnieniu utajoną drżącem.

On gna po chmurach, światło po wądołach włóczy,
Srebrem bije gościńce ponad mórz otchłanią,
Przedziera się przez rudą czerń gradowej tuczy,
Bieży na kres bezkresu — za nią, za nią, za nią!

STANISŁAW MIŁASZEWSKI

LIBERUM VETO

Nowy napad zamaskowanej szajki bandyckiej. — Oswojenie się ze złem... — Powtórzenia się historji. — Milczenie jako genjusz. — Upodobania władców. — Nowe złodziejstwa. — Przyrządy do nacisku wyborczego.

SROMOTNY szereg niewykrytych i nieukaranych zbrodniarzów powiększył się o nowe ohydne ich cienie w napadzie i okaleczeniu znakomitego publicysty, Adolfa Nowaczyńskiego. Jego potłukły i pokaleczyły pałki zbójeckie, a cały naród pogromiła hańba czynów, które w zdrowem społeczeństwie nie mogą się zrodzić i wymknąć sprawiedliwości. Ból, który szarpie ofiarę zbrodni w ranach, szarpie ogół we wstydzie. Nie wybuchamy zgrozą, bośmy już do tych zamaskowanych bandytów przywykli, zapewniamy tylko świat, że naród polski nie jest prawowitym ojcem tych nikczemnych podrzutków, nie znajduje w swem sumieniu żadnego dla nich rozgrzeszenia i nie ponosi za ich podłe czyny żadnej odpowiedzialności. Po jednej stronie są wszyscy ludzie uczciwi, otaczający współczuciem mordowanego pisarza, a po drugiej szajka morderców, ich herszci i sojusznicy.

Są w obecnem życiu naszem pewne objawy i czyny w państwach kulturalnych niemożliwe, które u nas należą nie do przypadkowych, ale do stałych jego warunków. Podobni jesteśmy do Eskimów grenlandzkich, których istnienia Włosi lub Francuzi nie mogą zrozumieć, a którzy tak przywykli do mieszkania w chatach ze śniegu i długiej zimy, że nie wyobrażają sobie pobytu w ciepłym klimacie. To nasze oswojenie się ze złem, przy gąbkowej miękkości charakteru i nałogu poddaństwa nabytego w niewoli, jest może najgorszym skutkiem demoralizujących wpływów obecnego czasu. Traktujemy to zło nie jak zarazę, od której uchronić i wyleczyć się można, ale jak burzę lub trzęsienie ziemi, którym musimy się poddać. Trzeba jednak przyznać, że opinja krytyczna dojrzewa w coraz głębszych i coraz szerszych warstwach społeczeństwa, ale nie może wyrazić się dość głośno w organach prasy, którym nałożono tłumniki. Jak za czasów niewoli posługuje się ona nieraz językiem Ezopa, ukrywając myśl między wierszami. Ludzie zawsze wynajdą sposób porozumiewania się: gdy im nie wolno pisać — mówią, gdy im nie wolno mówić głośno — szepczą, gdy im nie wolno nawet szeptać — wypukują litery w ścianach swego więzienia.

Niedawno „Myśl Niepodległa" i „Gazeta Warszawska" podały treść i wyjątki pisma W. Hugo p. t. „*Napoleon le Petit*". Trzeba przyznać, że urywki te są nader interesujące. Tak np. zdawałoby się, że milczenie może być zagadką, ale nie może być formą genjusza. Tymczasem dla pewnych umysłów posiada ono daleko większą siłę przekonywającą, niż najtęższy rozum. Dość gdy działa w atmosferze jakiego bądź kultu. Ktoś otoczony ślepą wiarą czcicieli, władający tylko jednym językiem, zapytany czy rozumie inne mowy, nie odpowiada i po pewnym czasie bałwochwalcy będą zaręczali, że on zna wszystkie języki świata. Ktoś stojący na wysokiem stanowisku władzy, zapytany o plan przyszłego działania, milczy, a wreszcie zmęczony i zniecierpliwiony natrętną ciekawością oświadcza, że żadnego planu niema i mieć nie chce. Niezawodnie zahypnotyzowane medja powiedzą: on ma wielkie plany, tylko ich nie wyjawia, bo zwyczajni śmiertelnicy nie zdołaliby ich pojąć i przeszkadzaliby mu w ich wykonaniu. Nie osłabią tej wiary najoczywistsze dowody, najlogiczniejsze rozumowania, nawet najszczersze wyznania samych milczących hypnotyzerów.

Równie zadziwiającem zjawiskiem jest upodobanie niektórych władców do wszelakiej kanalji. Ludzie uczciwi są dla nich narzędziami nieużytecznemi, wolą łotrów i uległych niewolników, pomimo że oni zawsze ich najlepszą robotę popsują i zohydzą. Zwłaszcza zaś umysły małe i słabe, powiększające się opuchlizną zarozumiałości do potwornych rozmiarów, nie mogąc okazywać swej siły w pokonywaniu twardego oporu, uzyskują jej pozór działaniem w jego braku. Na to jest potrzebna kanalja, która otaczała „małego Napoleona."

Po obszarach historji kłębią się szeroko obłoki wstrętnych dymów z trybularzów, w których pochlebcy zamiast kadzideł palą cuchnące wydzieliny swojego służalstwa. „Bhagawadgita", opowiada, że, według Kriszny kto chce dojść do doskonałości powinien przez całe życie wymawiać tylko jedną sylabę *OM* i nie czcić po za nim innego boga; wtedy „pójdzie najwyższą drogą", nie będzie potrzebował przebywać dalszych wcieleń, bo „kto go kocha, nie zginie". Tej rady trzymają się wszyscy głupi i nikczemni bałwochwalcy z tą jednak różnicą, że straciwszy łaski swego bóstwa, nie mogąc już iść przy jego pomocy „najwyższa drogą", są gotowi do „dalszych wcieleń". Wieprz lub koń przywiązują się czasem do swoich panów, ale zwykle jest dla nich obojętne, kto je karmi, aby tylko karmił.

Posiadamy w Europie smutną sławę najwyższego procentu złodziejów. Kradzieże przybrały tyle postaci, ile jest form życia. W każdej jego gałęzi, w każdym pączku siedzi ukryty tego rodzaju robak, który go toczy. Dziś nie wiadomo, kto nie jest złodziejem i gdzie go nie ma. To już nie wyrzutek społeczny, nie przestępca, ale typ pospolity, uznany, niekiedy nawet uprawniony narówni z innemi zawodami. Powiedzieć o kimś, że nie kradnie, znaczy tyle, co powiedzieć, że nie je, nie pije, nie ubiera się, nie chodzi do teatru — wogóle jest dziwakiem, opanowanym manją śmiesznej wstrzemięźliwości. Do wielu gatunków złodziejstwa przybył świeżo nowy — kradzieże wszelkich dokumentów. Trudnią się tem specjalnie kasiarze, którzy rozpruwają kasy ogniotrwałe i rozbijają biurka pojedyńczych osób i stowarzyszeń dla wydobycia z nich papierów z charakterem polityczno-społecznym. My znamy z niedalekiej przeszłości wszystkie zabiegi, sztuki sidła, łomy, węszenia śladów, jakich używa szpiegostwo dla zdobycia materjału do denuncjacyj. Zdawało się, że te „judaszowe drzewa" — zostały zniszczone i wyrwane z korzeniem. Gdzie tam! Rozrastają się bujnie i szerzą bezustannie. A czas obecny jest porą największego zapotrzebowania takich surowców, półfabrykatów i fabrykatów. Nadchodzą wybory. Ileż one zużywają tajnych doniesień, ciężkich oskarżeń, plugawych oszczerstw i intryg, podkopów, kradzieży czci ludzkiej!

Dla wyborów ustawione zostały wszystkie aparaty i zmontowane wszystkie maszyny naciskowe, wynalezione i skutecznie działające w administracji austrjackiej. Pamiętamy, jak to się działo w Austrji. Tu grożono komuś dymisją, tam odebraniem kredytu, tam śledztwem lub karą, gdzieindziej znowu zjednano obietnicą korzystnej dostawy, udzielenia koncesji, dania urzędu, lub dla całej warstwy społecznej — zmniejszenia podatków i zniesienia ograniczeń. Róg obfitości administracji austrjackiej zawierał niewyczerpane dary. A jak dowcipne wynalazła ona sposoby nacisku! Zjawia się do szynkarza miejskiego urzędowy pan i oświadcza mu, że jego karczma stoi za blisko drogi o 10 centymetrów i że będzie musiał ją odsunąć. Nazajutrz przybywa komisja, która spisuje odpowiedni protokół, ale

szepcze przerażonemu szynkarzowi, że jeśli namówi chłopów do głosowania na wskazanego kandydata, sprawa będzie umorzona. Wybór zapewniony.

Wzory więc do przeprowadzenia „wolnych wyborów bez nacisku władz“ mamy; pozostaje tylko umiejętnie i sprawnie je zastosować dla wydobycia „niesfałszowanej woli narodu“. Wogóle jest to piękne i wzniosłe widowisko, po którem trudno nie krzyknąć: „Niech żyje parlamentaryzm!“

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

BRATERSKIE STOSUNKI

DOBRZE jest posiadać przekonywajace dowody na rzeczy, o których mówi się, jak o pewnikach, nie wiedząc jednak na czem się opiera opinja w danej kwestji. Głos powszechny uważa Stresemanna za masona. Otóż prasa antymasońska włoska podaje obecnie list, który w dn. 20 października 1923 r. umieścił wychodzący w Buenos Aires miesięcznik masoński *„La Cadena de Union“*, i który dotyczy tego właśnie ważnego dla masonerji faktu.

„Drogi bracie i przyjacielu, donoszę ci z przyjemnością nowinę, której jesteśmy w stanie udzielić ci pierwsi. Niemiecki kanclerz państwa, Gustaw Stresemann został przyjęty do Wolnomularstwa w dn. 22 czerwca r. b. (1923) do loży „Fryderyk Wielki“, filji Wielkiej loży *Zu den 3 Weltkugeln*. Ponieważ Stresemann jest pierwszym niemieckim kanclerzem, przyjętym do loży, wypadek ten ma specjalne znaczenie. Jest rzeczą znaną, że w Wolnomularstwie francuskiem istnieje silne dążenie do trwałego zbliżenia między Francją i Niemcami. To też będzie rzeczą godną ubolewania, jeśli Poincaré'mu uda się swoją polityką osiągnąć odwołanie gabinetu Stresemanna. Pozdrowienie i braterski uścisk dłoni

Wasz Teodor Aleman.

W świetle takich rewelacyj trzeba patrzeć na podwójność stosunków międzynarodowych. Stresemann i jego bracia niemieccy mają w świecie, nawet w krajach zostających pod grozą odwetu, swoich przyjaciół w roli partnerów politycznych. Tak było w czasie wojny, kiedy się nie rozumiało, co może Francuzów (Caillaux, Malvy) albo Polaków... zniewalać do prowadzenia polityki progermańskiej.

Noworoczny numer „Głosu Prawdy“ na pierwszem miejscu (przed portretem sterników polskiej nawy państwowej) ozdobiony był portretem Stresemanna i obszernym wywiadem. Dziennik ten, tak nienawidzący przewódców polskiej polityki narodowej, wysłał do Berlina w roli „specjalnego wysłannika“ dr. Emila Breitera, który w dłuższej pogawędce informował Stresemanna o położeniu w Polsce. Niemiecki minister spraw zagranicznych przyjął wysłannika organu sanacyjnego, leżąc w łóżku. Chory nie szukał jednak u dr. Breitera porady, raczej szukał informacji.

— Jak tam jest dzisiaj u was w Polsce? — pyta Stresemann.

Odpowiadam — opowiada Breiter, — że od przewrotu majowego jest zasadnicza i olbrzymia zmiana na lepsze. Daję mu syntezę i charakterystykę całego przewrotu i roli, jaką Marszałek Piłsudski odgrywa w historji budowy państwa polskiego. A zresztą, mówię, p. minister przecież niedawno mówił z Marszałkiem Piłsudskim w Genewie?

— Tak jest mówiłem, zrobił na mnie głębokie wrażenie człowieka szczerego, o głębokich namiętnościach, który niczego nie ukrywa i w s z y s t k o j a s n o m ó w i, d o c z e g o d ą ż y.

Pan Breiter nie dziwił się niczemu, nawet gdy dyplomata niemiecki zapewniał go, że „nie wiedział wcale“, iż stosunki Polski z Litwą były tak „paradoksalne“, bo „nie było ani połączenia telegraficznego, ani kolejowego, ani pocztowego między Polską a Litwą“.

— „Teraz jednak rozpoczną się c h y b a bardzo szybko rokowania bezpośrednie“—powiada Stresemann, jakby to zależało od Breitera nie od niego. Stresemann nie przyznał się Breiterowi, że Litwa jest narzędziem jego polityki i zagadnął nagle:

— A teraz — pyta się minister Stresemann — dlaczego Piłsudski, za którym, jak pan mówi, stoi cały naród, w czasie wyborów do Rady miasta Warszawy uzyskał stosunkowo niewielką liczbę głosów?

— Pan minister jest źle poinformowany, odpowiadam. Piłsudski nie reprezentuje w Polsce żadnej partji, ale ś w i a t o p o g l ą d i i d e o l o g j ę. Za Piłsudskim stoi olbrzymia większość narodu, a wybory do rady miejskiej w Warszawie są w ł a ś n i e (?) dowodem, że elementy reakcyjno-nacjonalistyczne, a więc te, przeciw którym dokonał się przewrót majowy, poniosły klęskę. Podobnie kształtuje się również sytuacja w czasie obecnej kampanji wyborczej do sejmu. W obozie Piłsudskiego są wszystkie odcienie polityczne, od skrajnych radykałów aż do elementów prawicowych.

„Rozmawialiśmy jeszcze o Wilnie“ — pisze nie spostrzegający ironji cudzej a niedyskrecji własnej p. Breiter:

— Piłsudski najchętniej zrobiłby z Wilna stolicę Polski.

— I słusznie — odpowiada p. minister.

— Jak mam to rozumieć?

— Bo zawsze małe miasto jest odpowiedniejszem miejscem jako stolica, niż miasto wielkie.

W rozmowie poruszono nadto szereg zagadnień literackich. Stresemann wyraził żal, że nie mógł być w Pen Clubie, aby widzieć Kadena Bandrowskiego...

Tak sobie pogwarzali po bratersku; ani się spostrzegł p. Breiter, kiedy się to stało, że dał wywiad niemieckiemu dyplomacie o polskich stosunkach wewnętrznych.

BOLSZEWIZM WE FRANCJI

PARYSKI *„Temps“* zamieścił niedawno artykuł, omawiający program działalności C. O. G. T. U. *(Confédération Générale du Travail Unitaire)*, francuskiej organizacji o zasadach bolszewickich. Z przytoczonych przez dziennik francuski uchwał zjazdu tej organizacji, odbytego niedawno w Bordeaux, widać, jak poważne niebezpieczeństwo grozi z tej strony Francji na wypadek wojny. Wobec tego, że zasady i działalność bolszewików są we wszystkich krajach jednakowe, wobec niedawnej ich zapowiedzi wzmożenia propagandy w Polsce, warto zapoznać się z uchwałami zjazdu w Bordeaux bliżej.

Zjazd poleca, między innemi, swym członkom, jako działalność na najbliższą przyszłość *(des tâches immédiates)*:

„Podnieść do *maximum* propagandę antymilitery-styczną we Francji i kolonjach, organizować wszędzie *„le sou du soldat“*, co wytworzy łączność między robotnikami, żołnierzami i marynarzami.

„Wykazywać, że pracownicy winni organizować bojkot i sabotaż transportów wojsk, broni i amunicji i że strajki zarówno w zakresie transportów lądem i morzem, jak i w przemyśle metalurgicznym i chemicznym winny być przygotowane zawczasu.

„Rozszerzeć i wzmacniać syndykaty w portach, walczyć o nadanie tym organizacjom kierunku istotnie rewolucyjnego, zdolnego do przeprowadzenia decyzyj, powziętych przez CO. G. T. U. odnośnie do sabotażu i bojkotu transportów wojsk i wyrobu amunicji“.

W razie konfliktu, któryby postawił wojsko przeciw wojskom bolszewickiej Rosji, zjazd „daje uroczyste ostrzeżenie“ wszystkim imperjalistycznym kierownikom, że robotnicy staną po stronie czerwonej armji. Wypowiedzenie wojny Rosji jest zarazem wypowiedzeniem wojny domowej ruchowi robotniczemu.

Akcję antymilitarystyczną—powiadają dalej uchwały Zjazdu—należy prowadzić przez organizowanie kas żołnierskiego grosza (*sou du soldat*), przez organizowanie syndykatów z pośród powołanych świeżo do wojska, urządzanie dla nich pożegnań, wreszcie przez wywoływanie wogóle fermentów wśród młodych ludzi różnego wieku, którzy mogą zostać do wojsk powołani.

A. W.

PORTRECIK POLITYCZNY

BARDZO charakterystyczna dla dzisiejszych stosunków w Europie moda lewicowa dyktatury znalazła swego satyryka w Ludwiku Latzarusie, który zamieścił w gwiazdkowym numerze paryskiej „*La Revue Hebdomadaire*" sylwetkę typu. Warto ją przytoczyć:

„Józef to prekursor. Poucza lewicę, że zdolna jest porodzić... dyktatora. Ledwie przycichły echa skandalu, już najzagorzalsi republikanie zaczęli rozmyślać nad tem, iż władza to jednak rzecz wcale ponętna, a także nad tem, iż gwałtem można osiągnąć odrazu to, na co dotychczas czekało się długie lata. Jednem słowem marzenia skrajnych prawicowców przeniosły się do przeciwnego obozu. Ponieważ zaś niewypada powoływać się na Napoleona pierwszego lub trzeciego, przytacza się Robespierra i jakobinów. Historja jest bogata, każdy w niej znajdzie przykłady takie, jakich mu trzeba.

Strzeż się jednak, mój synu, brać za wzór Józefa. Każdy prekursor bywał głupawy. Ten również nie stanowi wyjątku. Cała jego karjera to jedno wielkie głupstwo. Mniejsza o to, że sprzeniewierzył się tradycjom rodzinnym. Możnaby mu to darować, gdyby potrafił urobić sobie duszę w sposób oryginalny. Ale Józef ma duszę taką, jaką odziedziczył — pod szychem demagogji bije pyszałkowate serce drobnego szlachetki. Łudził się, że zdoła pozyskać miłość ludu. Tymczasem wszystko go od ludu oddala. Przedewszystkiem pogarda, jaką dla ludu żywi. W epoce, w której naczelną zaletą polityka powinna być uprzejmość i wdzięk manjer, Józef sypie wyrazami obelżywemi, jest wyniosły, prowokuje. W otoczeniu swojem znosi tylko lokajów, a ponieważ nie pyta ich zgoła o papiery—wszystkie czynione przez nich skandale idą na jego rachunek. Nigdy nie umiał myśleć zgodnie z narodem. Przeżył wojnę myśląc kategorjami przedwojennemi. Po wojnie przeżuwa światopogląd studencki z r. 1880. Został daleko w tyle za swoją epoką, a wyobraża sobie, że ją wyprzedza. Szuka rozwiązania zagadnień bieżących w Cezarze, ale udaje mu się postępowanie swoje nawiązać do zupełnie innych zamierzchłych tradycji. Ma w sobie coś z Caiusa Gracchusa i coś z Korjolana. Uchodzi za inteligentnego. Nie wierz temu synku. Posiada umysłowość szkolarską, doktrynerską. właśnie taką, jakiej polityk posiadać nie powinien. Jeżeli chcesz, synku, dobrze postępować — rób wszystko to, czego Józef nie zrobił".

Lazarus miał prawdopodobnie na myśli Józefa Caillaux.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Pierwsze listy kandydatów do Sejmu — Mowa min. Zaleskiego— O zbliżenie włosko-francuskie.

OKRES przedwyborczy rozpoczął się już na dobre: poszczególne stronnictwa zgłaszają państwowe listy kandydatów, organizują się porozumienia, bloki i komitety wyborcze, odbywają się ostatnie narady przywódców grup i zrzeszeń. Z listą kandydatów pierwszy wystąpił „Bezpartyjny komitet współpracy z Rządem", cieszący się, jak wiadomo, usilnem poparciem sfer oficjalnych. Na liście, jak wynika z informacyj dziennikarskich, widnieją nazwiska kilku ministrów, kilku majorów, kilku przywódców „Strzelca", kilku arystokratów. Blaskiem sanacji moralnej promienieje na niej imię redaktora „Ilustrowanego Kurjera Codziennego" p. Marjana Dąbrowskiego. Pozatem: monarchiści, synnarchiści, republikanie, radykalni demokraci... Jak się zdaje, „Komitet współpracy z Rządem" nie zamierza wogóle występować z jakimkolwiek programem politycznym.

Listę Nr. 2. zgłosiła Polska Partja Socjalistyczna. Ponieważ lista ta jest wynikiem porozumienia między socjalistami polskimi i niemieckimi, ponieważ jako kandydaci poumieszczani są na niej zarówno Polacy jak Niemcy, ponieważ wreszcie zespolenie między obu grupami nastąpiło nie na gruncie polskości, ale socjalizmu, w interesie ścisłości listę Nr. 2. należałoby nazwać właściwie „polsko-niemiecką listą socjalistyczną".

Komitet katolicko-narodowy, jak dotąd, państwowej listy kandydatów jeszcze nie zgłosił. Praca organizacyjna Komitetu prowadzona jest na terenie całego Państwa z coraz większą energją, biorą w niej udział liczne żywioły bezpartyjne, dotychczas stroniące od polityki, obecnie jednak rozumiejące coraz lepiej ważność chwili i powagę ciążącej na każdym obywatelu odpowiedzialności.

Podobnie jak przed rokiem, minister spraw zagranicznych p. August Zaleski wygłosił dn. 9 b. m. przemówienie polityczne na bankiecie „Towarzystwa Badań Międzynarodowych". W przeciwieństwie do energicznych wyrażeń, skierowanych pod adresem Niemiec w przemówieniu zeszłorocznem, tym razem minister Zaleski wypowiedział się o stosunkach polsko-niemieckich w tonie tak ciepłym, jakiego dyplomacja nasza nie używała bodaj od czasów Rady Regencyjnej. Minister spraw zagranicznych nietylko z naciskiem przypomniał oświadczenie swe o dążeniu „do ustalenia i utrwalenia jaknajlepszych... stosunków sąsiedzkich z Niemcami", ale nawet zauważył „sporo dowodów dobrej woli", okazywanej w stosunku do Polski „ze strony kierownictwa niemieckiej polityki zagranicznej". „Niema już chyba poważnie myślącego Niemca" — mówił min. Zaleski — „któryby powtarzał popularnie w swoim czasie w Niemczech twierdzenie, iż Polska jest tylko *Saisonstaatem*". Niewątpliwie pogląd p. ministra spraw zagranicznych jest najzupełniej trafny. Warto jednak byłoby zbadać przy sposobności zagadnienie, ile też miljonów Niemców myśli niepoważnie...

Podczas gdy polski minister spraw zagranicznych tyle uwagi poświęca kwestji „jaknajlepszych stosunków sąsiedzkich z Niemcami", w świecie międzynarodowym wielkie wrażenie wywarł ogłoszony w „*Echo de Paris*" wywiad z jednym z najwybitniejszych przywódców i teoretyków faszyzmu, p. Francesco Coppola. W wywiadzie tym Coppola wypowiada się za ścisłym sojuszem włosko-francuskim, zapewniającym Francji całkowite bezpieczeństwo w stosunku do Niemiec, wzamian za co Włochy otrzymałyby w zarząd tereny kolonjalne na wschodniem wybrzeżu morza Śródziemnego. Prasa niemiecka uważa za rzecz zupełnie niemożliwą, aby wywiad tak wybitnego przedstawiciela faszyzmu ukazał się bez wiedzy i zgody Mussoliniego.

Zagadnienie, poruszone w wywiadzie Fr. Coppoli, jest niezmiernie doniosłe. Ludność Włoch wskutek niezwykle szybkiego przyrostu naturalnego, zwiększa się o mniej więcej pół miljona rocznie. Już w chwili obecnej dorównywa ona niemal ludności Francji, aczkolwiek terytorjum Italji jest nietylko mniejsze, ale przedewszystkiem o wiele uboższe. Przyznać należy, że rząd Mussoliniego zdobywa się na największe wysiłki, aby tę wzrastającą ludność wyżywić o ile możności we własnym kraju, czego dowodem skuteczne zwiększenie produkcji rolnej (t. zw. *battaglia del grano*) oraz olbrzymie prace w kierunku t. zw. „waloryzacji gospodarczej" Włoch południowych, podjęte przez ministra robót publicznych Giuratiego. Tem nie mniej zagadnienie przeludnienia Włoch istnieje i domaga

się rozwiązania. Jest sprawą największej doniosłości, ażeby rozwiązania tego szukano nie w zatargu z Francją, ale przeciwnie przy pomocy wzmocnienia jej mocarstwowego stanowiska przez ułatwienie jej stanowczej, nieskrępowanej polityki na kontynencie europejskim.

J. R.

NAUKA I LITERATURA

WOJNA I POKÓJ

TRAKTATY zawarte w roku 1919 w Paryżu i jego okolicach różnią się zasadniczo od większości traktatów, jakie znamy z historji państw europejskich. Dawniej, do końca wieku XIX-go, opierano traktaty pokoju na uświęceniu nowej równowagi politycznej między państwami, stwierdzonej przez wyniki wojny. Im ściślej zdołano uchwycić przy pertraktacjach pokojowych tę nową równowagę, tem trwalszy był pokój. Mówiono wprawdzie zawsze o słuszności i sprawiedliwości, liczono się wszakże tylko z siłą kontrahentów. W roku 1919 pięciu kierowników wielkich mocarstw, którzy bezapelacyjnie wszystko decydowali, oświadczyło, że uważają zasady równowagi za przestarzałe, że nie będą się liczyli z siłą państw, że nie będą brali w rachubę względów strategicznych i gospodarczych, lecz że oprą się wyłącznie na etnografji i ustalą taki porządek w Europie, którego już nikt nigdy nie zburzy. Porządek ten miał być oparty na słuszności i sprawiedliwości, a przeto wojna rozpoczęta w roku 1914 miała być wojną ostatnią.

Jakże daleka jest rzeczywistość dzisiejsza od tych nadziei i przewidywań! Wszyscy czują w Europie, że pokój nie jest wcale pewny, a od czasu do czasu przechodzą przez nasz kontynent prądy, które zapowiadają wojnę. Państwa zwycięskie i te, które odzyskały przez wojnę niezależność lub powiększyły swój stan posiadania, nie pragną wojny i są zwolennikami pokoju, lecz państwa zwyciężone uważają traktaty za szczyt niesprawiedliwości i nie ukrywają tego, że dążą do ich zasadniczej zmiany; ze względu na swą dziś słabość wojskową głoszą, że tylko środkami pokojowemi, lecz czy jest ktokolwiek, ktoby wątpił, iż zastosują wszelkie środki, gdy uznają, że to może zapewnić im powodzenie.

Zdawałoby się, że politycy europejscy powinni wyciągnąć konsenkwencje z doświadczenia już prawie dziesięcioletniego i zrozumieć, że zamiast budować trwałość pokoju na papierowych gwarancjach i wierze w nowego „ducha" wśród ludzkości, którego, jak się okazuje, niema, lepiejby było zapewnić tym państwom i narodom, które są zainteresowane w utrzymaniu nowego i niewątpliwie sprawiedliwszego układu terytorjalnego w Europie, środki i zasoby, potrzebne do utrzymania nowego porządku, i przeprowadzić między niemi taki system sojuszów, opartych o odpowiednie siły wojskowe, któryby trwałość pokoju i nowego układu zabezpieczył. Nic o tem nie słychać; natomiast widzimy, że robione są wciąż wysiłki oparcia pokoju na systemie, który zawiódł. Od lat ośmiu są wciąż ponawiane usiłowania gromadzenia nowych gwarancyj w postaci umów, zobowiązań międzynarodowych, uchwał i protokułów. Ośrodkiem tej pracy jest Liga Narodów. Istnieje już bogata tradycja, doświadczenie, literatura, język specjalny, zrozumiały tylko dla wtajemniczonych, nieomal nowa religja z nowym kultem. Wiedzą o tem ci, co bywali w Genewie.

Jedynym zaś widocznym skutkiem tych wszystkich wysiłków jest to, że narody zainteresowane w utrzymaniu nowego, lepszego porządku w Europie rozbrajają się moralnie i materjalnie, wyrzekają się dotykalnych gwarancyj; państwa zaś, dążące do rewizji traktatów i powrotu do dawnego porządku, pozbywają się więzów nałożonych przez traktaty i jawnie się przygotowują do odwetu. Gdy państwa zwycięskie będą dostatecznie osłabione, a państwa zwyciężone się wzmocnią, wówczas wybuchnie nowa wojna. Powodów do niej nie brak — na wschodzie, na zachodzie i na południu.

Tym wysiłkom, zwróconym ku zabezpieczeniu pokoju przez gwarancje i zobowiązania międzynarodowe, poświęcił ciekawą i doskonale napisaną książkę prof. Bohdan Winiarski. Tytuł tej książki: „Bezpieczeństwo, arbitraż, rozbrojenie".[1]) Omawia w niej naprzód stosunek paktu Ligi Narodów do zagadnienia bezpieczeństwa, następnie zaś przedstawia ściśle i szczegółowo to wszystko, co w ciągu ostatnich lat ośmiu zrobiono, by wzmocnić gwarancje bezpieczeństwa, oraz to, co zrobić zamierzano, a więc projekt traktatu wzajemnej pomocy z roku 1923, protokół genewski z roku 1924 wreszcie umowy lokarneńskie z roku 1925. Wszystko to wydaje się wszakże nawet samym autorom i entuzjastom nowych metod niedostateczne, skoro wciąż szukają nowych gwarancyj. Z tej troski wyniknął wniosek Polski na zeszłorocznem zgromadzeniu Ligi, a obecnie najświeższy, jeszcze w tej chwili, gdy to piszemy, nieznany w szczegółach projekt amerykański wyjęcia wszelkiej wojny z pod prawa.

Równie szczegółowo i ściśle przedstawia prof. Winiarski to, co zrobiono dotychczas w sprawie arbitrażu i rozbrojenia. Nikt nie może lekceważyć tych wysiłków, muszą się z niemi liczyć nawet ci politycy, którzy w ich skuteczność nie wierzą. Wytworzył się już cały splot faktów, które są z kolei czynnikami w polityce, przekreślić już tego, co się stało, nie można. Dlatego trzeba znać dzieje wysiłków pokojowych, zrobionych na terenie Ligi Narodów. Znajomość tę muszą posiadać nietylko politycy zawodowi, lecz i szeroki ogół. Dlatego to jest książka prof. Winiarskiego aktualna i użyteczna.

Autor traktuje swój przedmiot z punktu widzenia prawnego i historycznego, nie mógł wszakże całkowicie pominąć jego strony politycznej. Wypowiada się ostrożnie, jak przystało na uczonego, dość wyraźnie jednak, by czytelnik zrozumiał, że za jedyną pewną gwarancję bezpieczeństwa, a więc niepodległości i całości terytorjalnej należy, mimo wszystko, uważać siły własne i gotowość do odparcia z bronią w ręku wszelkich zamachów na najwyższe dobra narodowe. Najpewniejszą gwarancją bezpieczeństwa jest, jak słusznie powiada prof. Winiarski, cytując przy tej okazji Kochanowskiego, „pewny żołnierz na granicy".

Wszyscy pragniemy pokoju, wszyscy uważamy wojnę za straszną katastrofę. Różnica poglądów istnieje tylko co do tego, jakiemi środkami można zapewnić długie trwanie pokoju. Jedni wierzą w to, że odbyła się zasadnicza zmiana w stosunkach między narodami i w duszach ludzkich, wyobrażają sobie, że wojny wynikają ze złej woli jednostek, lub też ze złych skłonności narodów całych, inni natomiast twierdzą, że nic się w tym zakresie od wieków nie zmieniło, że w stosunkach międzynarodowych niestety wciąż jest decydującym czynnikiem siła, a ludzie, działają wciąż pod wpływem tych samych instynktów i namiętności; twierdzą dalej, że wojny należy porównać do żywiołowych katastrof w przyrodzie, które można

[1]) Poznań 1928. Księg. Uniwersytecka (Fiszer i Majewski).

ograniczyć, smutne, ich następstwa złagodzić, lecz których żadną uchwałą ani zobowiązaniem usunąć z powierzchni ziemi się nie da, podobnie zresztą, jak nie można usunąć chorób postanowieniami wiecowemi. Nie przez zapoznawanie praw odwiecznych, rządzących życiem ludzkości, lecz przez znajomość tych praw i stosowanie się do nich w życiu zbiorowem i polityce można dużo złego uniknąć i od wielu złych następstw się zabezpieczyć. Ludzie, znający historję i mający historyczny sposób myślenia, nie posiadają wiary w pokój wieczny, sądzą natomiast, że przez politykę realną i pozytywną, liczącą się z naturą ludzką i z warunkami życia narodów historycznych, można przedłużyć trwanie pokoju.

STANISŁAW KOZICKI

PRZEDZIWNY ŻYWOT LORDA... ENDYMIONA

W WYDAWANYM od niedawna przez paryską księgarnię Gallimard'a zbiorze „Żywotów sławnych ludzi" (*„Vies des hommes illustres"*) ukazał się świeżo życiorys jednego z najznakomitszych mężów stanu Anglji XIX-go wieku, mianowicie Benjamina Diesraëli'ego, lorda Beaconsfield'a (*„La vie de Disraeli"*, str. 340). Autorem tego zyciorysu jest znany powieściopisarz André Maurois, który niedawno, specjalizując się snadź w sprawach angielskich, obdarzył piśmiennictwo francuskie bardzo pięknie napisanym życiorysem Shelley'a (*„Ariel ou la vie de Shelley"*).

Od uduchowionego twórcy „Epipsychidjona" do twórcy... traktatu berlińskiego, który wystrychnął zwycięską Rosję na dudka (sto tysięcy zabitych i sto miljonów wydanych — na nic, jak się wyraził książe Gorczaków) — przeskok dość nieoczekiwany. Takby się zdawało! Tymczasem utalentowany autor potrafił tyle poezji wycisnąć z żywota bezwzględnego polityka, że, doprawdy, mąż stanu schodzi na drugi plan, wyobraźnię natomiast czytelnika opanowuje jednostka, przypominająca byronizujących bohaterów powieściowych, niekiedy nawet posępnych i przeczulonych światowców Feuillet'a, ...„Wymaganiem serca mego jest, żeby życie moje było nienstanną miłością"... „Pragnę albo zupełnej samotności, albo zupełnej sympatji"... „Najbardziej urocza z pomiędzy kobiet, nigdy nie była tak zachwycająca, jak dzisiejszego popołudnia, mógłbym siedzieć przy niej ciągle, podziwiając jej ruchy, które są samym wdziękiem, i słuchać jej olśniewającej mowy; niestety jednak, straszna myśl wstrząsa mną od czasu do czasu — mianowicie, że wizyta jej, jest wizytą pożegnalną. Kiedyż ustaną te ciągłe rozłąki? Jestem zdania, że niema większego nieszczęścia, jak posiadać serce, ktore niechce się starzeć"... Tak się uskarża i tak melancholizuje nie jakiś młodzieńczy kochanek, niepewny swoich spraw sercowych, lecz siedemdziesięcioletni starzec, podagryczny kokiet, który niechce się pogodzić z myślą, że jego *„fort belle jambe"* (z listu Disraeli'ego), nie jest już tem, czem była za młodu. Kochał wszystkie kobiety, jak powiadał, mniej zmysłami, więcej wyobraźnią, uwielbiał je jako jedno z wcieleń piękna na ziemi, tak jak zachwycał się kwiatami, widokami pięknej natury i t.p. W uprawianiu przyjaźni kobiecych był bezinteresowny, z roli wszakże dobroczynnej, jaką odegrały w jego życiu, zdawał sobie jasno sprawę i z tem nie krył się przed światem.

W jednej z ostatnich swoich powieści p. t. „Endymjon" przedstawia Disraeli dzieje młodego polityka, który powodzenie swoje zawdzięcza przyjaźni kobiet. Jest tu wiele z jego własnych dziejów jako polityka i wogóle człowieka, zdobywającego swoje miejsce w świecie. Kobietom zawdzięczał Disraeli swoje powodzenie w arystokratycznem towarzystwie angielskiem, do którego przeciskał się od lat najmłodszych, pożerany ambicją władzy oraz urzeczywistnienia wymarzonego ideau świetności życiowej. Za nim przyszło, na schyłku życia, powszechne uznanie, uznały go pierwsze kobiety, w naturze bowiem Disraeli'ego istniały te wszelkie przymioty, które nęcą świat kobiecy.

Było w charakterze przyszłego lorda Beaconsfielda coś prowokującego i drażniącego, a przedewszystkiem nie był nudny: zaciekawiał i bawił swojemi dandysowskiemi fanfaronadami, cynicznym dowcipem, paradoksami, mizdrzeniem się, a nawet szczerem wyznaniem robienia „bajecznej" karjery, (w bardzo młodym wieku zuchwale głosił, że chce zostać premjerem rządu angielskiego). Działał na wyobraźnię kobiet zarówno malowniczością stroju swego, jak barwnością swego umysłu — ruchliwego, ekscentrycznego, nagłą błyskawicą niweczącego konwencjonalność i urągającego wszelkiej urzędowości. Kobiety doskonale się bawiły w towarzystwie Disraeli'ego i, wskutek tego, robiły mu reklamę, dzwoniły na jego chwałę.

Za te same przymioty nie znosili go mężczyźni; lord Stanley powiedział raz o Disraeli'm: „jeśli ten nicpoń wejdzie w skład ministerjum, ja zeń wystąpię"; o wiele dosadniej wyrazi się o nim zgryźliwy Carlyle: „Jakże długo jeszcze pozwoli John Bull tej nieznośnej małpie tańczyć na swoim brzuchu"... Nie wspominam już o politycznym rywalu — Gladstone'ie, który się nim gorszył, a także o całej purytańskiej Anglji, która widziała w nim wcielenie Szatana. Nawet ludzie, należący do jednego z nim obozu politycznego, torysi, których stał się leaderem, czuli się wobec niego „nijako", dreszcz niepokoju przebiegał po ich skórze, doznawali uczuć Fausta wobec Mefistofelesa. W końcu zwycięży opinja kobiet, t. j. wszyscy się zgodzą na to, że mieli do czynienia z niezwykłą jednostką, z niezrównanym graczem i artystą istnienia, który dodawał blasku ich własnemu życiu. Wszyscy ocenią go tak, jak Bismarck (po kongresie berlińskim), który wyraził się o nim: *„Der alte Jude, das ist der Mann"* („Stary żyd" — oto człowiek).

Gdy Disraeli, po długich latach walk politycznych, schodził z tej widowni, gdzie święcił wielkie triumfy i doznał nie jednej porażki, gdy z Izby Gmin przeszedł do Izby Lordów, wszyscy, przyjaciele i przeciwnicy, odczuli to jak wielką wspólną stratę. Jeden z przeciwników, Sir W. Harcourt, pisał doń: „Nie wyobrażałem sobie, jak wielką będzie zmiana. Wszelka rycerskość, wszelki urok— rzekłbyś nas opuścił. Nic nie pozostało, prócz rutyny. Teraz na szachownicy gra będzie szła tak, jak po odejściu królowej: będzie to nędzna walka pionków".

„Nieznośna małpa" która na ciężkiem ciele John Bull'a wykonywała, przez pół wieku niemal, ucieszne łamańce i grymasy, zeszła z niego triumfalnie, oklaskiwana przez tłumy, czczona przez tych, co niegdyś ją lżyli i gorszyli się jej widokiem. Na zmianę tego rodzaju wpłynęło niewątpliwie oswojenie się z jednostką oryginalną, nie dającą się łatwo spędzić ze sceny: stąd, wkońcu, podziw i objawy szacunku ze strony szerszego ogółu; wpłynęły także sukcesy polityczne i zasługi wobec Anglji; nie mniej jednak wpłynęło i to, że odczuto w nim człowieka nie na miarę krawca, artystę życia, który zdobywał, najtrudniejsze do zdobycia pozycje po mistrzowsku, zawsze z zachowaniem własnego stylu, a przytem więcej dbał o artyzm w grze życiowej, niż o doraźne korzyści. Powoli schodził na współczesnych — a i potomni nie są od tego wolni — urok od Disraeli'ego — poety, który marzenia swoje wcielał z uporem w życie, od Disraeli'ego — myśliciela, który na zabiegi ludzkie patrzał z wysoka, i więcej cenił sam poryw życia, jego piękną i wiosenną młodość, niż to co z niego chwytają śmiertelni w chciwe nienasycone dłonie.

Skąd to wszystko, tego rodzaju rysy charakteru i usposobienia duszy, w jednostce, pochodzącej z rasy, odznaczającej się innego typu kulturą duchową, z rasy wyzyskującej życie i jego dobra materjalne prozaicznie, bez cienia poezji, i ubiegającej się o władzę w świecie, by zapewnić sobie panowanie nad materją?.

W Disraelim uderza brak chciwości rasowej i bezinteresowność: przez całe życie, nawet jako przywódca panującego stronnictwa i wielki minister - premjer, nie wychodzi z długów, które opędza nieraz honorarjami z powieści swoich. Dba o interesy finansowe państwa (wykupienie akcyj Kanału Suezkiego), swoje zaś sprawy materjalne zaniedbuje i nie korzysta z władzy posiadanej w celu zwiększenia własnej fortuny.

Różni się od plemienia swego wieloma innemi przymiotami: żywi uczucia wdzięczności dla ludzi, którzy mu sprzyjali, jest wierny w przyjaźni, na wrogach nie mści się, pokonanych w walce — nie dobija, umie być wspaniałomyślnym wobec przeciwników (poniewierającego nim Carlyle'a odznaczył jak mógł najwyżej, jak tylko doszedł do władzy i t. p.). — słowem zachowuje się zawsze jak urodzony *gentleman*.

Roger Lambelin w znanej książce swojej *„Le règne d' Israel chez les Anglo-Saxons"*, zarzuca Beaconsfield'owi między innemi to, że nadużywał swej władzy w celu uprzywilejowania żydów w państwie W. Brytanji (p. str. 15 — 19).

To prawda, że ich bronił nieraz w parlamencie, nic jednak więcej nie dał im nad to, co już sami rodowici politycy angielscy im wówczas przyznawali (lord John Russel i t. p.), którzy nie gorzej walczyli o ich prawa od samego Disraeli'ego. I pod tym więc względem nie przesadzał w solidaryzowania się z ambicjami przyziemnemi swoich współplemieńców, chociaż o ich wyższości rasowej nieraz przekonywał członków arystokracji angielskiej. Wchodziło to jednak, jak mi się zdaje, w zakres jego historjozofji marzycielskiej, o ile nie było paradoksem.

Z tych więc powodów, pomijając przygody i niezwykłe koleje życia Disraeli'ego, nazwałem żywot jego „przedziwnym", rozwijał się bowiem samodzielnie, w wyjątkowej niezależności od ducha i kultury jego rasy. (Jakże to życie innemi idzie drogami, niż życie tych wszystkich międzynarodowych lordów Reading'ów, Montagu, Sirów Sassoon'ów, Samuel'ów i t. p., którzy dzisiaj, po lordzie Beaconsfieldzie, panują w Anglji).

Różnił się Disraëli głęboko i od rodowitych Anglików, nie zawsze był przez nich rozumiany, nie podążali za jego fantazjami, marzycielstwem, polotem wyobraźni, wreszcie za żywotnością serca, do śmierci młodego, rojącego wciąż rzeczy niezwykłe: zdumiewał Anglików, zbijał z tropu, drażnił — może więc dlatego panował nad nimi.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Do najpożądańszych i najniecierpliwiej wyglądanych nowości wydawniczych należą bezwątpienia opuszczające kolejno prasę tomy dzieł Stanisława Wyspiańskiego w wydawnictwie zbiorowem „Bibljoteki Polskiej". Życzyć sobie tylko wypada, aby to chwalebne przedsięwzięcie wydawnicze doprowadzono jaknajprędzej i jaknajszczęśliwiej do końca. Obecne tempo publikacji nie jest zadowalające. Więcej niż rok czekać trzeba było, aż po tomie trzecim ukaże się czwarty, który ujrzeliśmy dopiero tuż przed Gwiazdką tegoroczną. Objętością pobił on swych poprzedników i liczy stron bezmała tysiąc: — ściślej: CLXIV + 688. Przyniósł trzy arcydzieła poety: „Wesele", „Wyzwolenie" i „Akropolis", objaśnione przez prof. Sinkę i uzupełnione warjantami tekstu, podanemi do druku i opracowanemi przez Adama Chmiela. Zalety i wady tego wydawnictwa roztrząsano już z okazji ukazania się pierwszych tomów; to pewne, że sama publikacja dzieł Wyspiańskiego jest faktem nad wyraz radosnym. Tutaj przy powitaniu tomu czwartego chcemy zrobić jedną tylko uwagę. Wstępy do dramatów wyszły z pod pióra prof. Sinki. Jak wiadomo tym, którzy już korzystali z poprzednich tomów, są to wstępy, które rzeczywiście objaśniają, rzeczywiście pomagają przy lekturze, bo (naturalnie z wyjątkiem niezbędnych informacyj dodatkowych, jak o genezie utworów, i t. p.) naogół nie wybiegają daleko poza objaśnienia tekstualne. Uwydatnić łączność scen, bieg akcji i t. d. stara się p. Sinko, posługując się, o ile możności, słowami samego Wyspiańskiego, usiłując jaknajszerzej oprzeć się o odpowiednio zestawione cytaty, jaknajmniej pola zostawić czczym domysłom. Taksamo godzien jest naszego całkowitego zaufania, gdy, w odpowiedniem miejscu, dla objaśnienia Wyspiańskiego wspomina jakiś renesansowy obraz, grecką rzeźbę, lub cytat z Homera. Ale wychodząc poza ten obszar badań „ścisłych", zrobi czasem propozycję zadziwiającą. Znane są refleksje Konrada w rozmowie z Maską 12-tą: „Nie pozwolić prostytuować naszych kobiet... My nie powinniśmy pozwolić naszych kobiet obcym, tym obcym, co siedzą wśród nas... Oto przedewszystkiem powinniśmy uszanować krew narodu. I nie dać jej marnować. Nie pozwolić marnować krwi narodu... Nie mogę ścierpieć i znosić i słuchać, że kobieta Polka przeistacza dom męża obcego i czyni zeń dom polski. Jeżeli tak czyni, to czyni podłość........, która prędzej czy później odezwie się w charakterze potomstwa... Ale winniśmy przeciwdziałać i nie pozwolić marnować naszej krwi i naszych dziewcząt, tak dobrze obcym, jak swoim. Tego nie powinniśmy, a to tylko może zrobić... Polski rząd. Bo żaden inny naszych interesów, interesów naszej krwi bronić nie będzie". Te myśli Konrada wydają się prof. Since tak absurdalne, że nie widzi możności wytłumaczyć ich inaczej, jak... hypotezą alegorji i to mało poetyckiej, bo przymusowej, koniecznej jakoby ze względu na cenzurę austrjacką. W istocie chodziłoby rzekomo poecie o... służbę wojskową mężczyzn w armjach zaborców!!! Gdzież tu ścisłość naukowa profesora? I co za dziwne wrażenie, że kwestja małżeństw mieszanych, małżeństw dziewcząt polskich z tymi obcymi, co „siedzą wśród nas", nie stanowi niebezpieczeństwa dla narodu i niegodna jest pióra poety — publicysty! Czy to rzeczywiście jest rzecz absurdalna? Czy nie łatwiej zauważyć absurdalność wykładni alegorycznej?... „nie pozwolić marnować naszej krwi i naszych dziewcząt, tak dobrze obcym, jak swoim". Podstawmy zamiast „dziewcząt" — „synów", tak jak to proponuje prof. Sinko — i cóż za bezsens wyniknie!

*

Pod koniec roku 1927 wyroili się poeci na podziw liczni. Wymienimy zbiorki nadesłane: Balińskiego Stan. Wieczór na Wschodzie, Birkenmajera Józefa Poszumy Bajkału, Grodzieńskiej-Łucznikowej Promyki, Horzelskiego Tad. Hieroglif słoneczny, Hulewicza Wit. Sonety instrumentalne, Iłłakowiczówny Kazimiery Zwierciadło nocy, Łopalewskiego Tad. Piękna podróż, Pawlikowskiej Marji Cisza leśna, Staffa Leopolda Ucho igielne, Szpyrkówny M. H. Poezje, Zdziarskiego Stan. W pożarach krwi (wyd. II). Z tych pięć wyszło u Hoesicka, trzy u Martkowicza, jeden u Zwolińskiego w Zakopanem. Jeden zbiorek wydany w Pułtusku (Grodzieńskiej). A więc ogniskiem poezji wydaje się być Warszawa. Dwu autorów (Hulewicz, Łopalewski) pisało w Wilnie. Z dzielnic zachodnich niema nikogo. Należałoby się zająć bibljografją nowej poezji, segregacją i oceną. Ciekawy to materjał do badań nad duszą narodu.

*

Dr. Stefan Dąbrowski, profesor chemji fizjologicznej na uniwersytecie poznańskim, ogłosił jako osobną broszurę swój wykład inauguracyjny na otwarcie roku szkol. 1927/8 p. t. „Zwrot ku poglądom humoralnym w fizjologji i medycynie". Aczkolwiek rzecz napisana jest przedewszystkiem dla specjalistów-przyrodników, zasługuje na uwagę także ze strony szerszych kół inteligencji, jako znamienny przykład odwrotu od teoryj materjalistycznych w przyrodoznastwie, stwierdzenia, że „w ustroju żywym poza układem sił fizycznych i chemicznych działa układ sił innych, które nie mogą być wyrażone w równaniach newtonowskich, gdzie czas jest bez znaku, a przeszłość nie różni się od przyszłości".

*

Nakładem X. X. Pallotynów wydana została broszura b. posłanki Wandy Łądziny p.t. „Ratujmy rodzinę!" Zawiera ona projekt ustawy o karach za porzucenie rodziny t. j. „samowolne nie wykonanie zobowiązań natury materjalnej, powodujące niemożność normalnego życia rodziny wśród danego środowiska". Osoby nie wypłacające rodzinie alimentów, do których zobowiązane zostały wyrokiem sądowym, powinny być, według tego projektu, karane grzywną, więzieniem oraz pozbawieniem biernego i czynnego prawa wyborczego do ciał przedstawicielskich państwowych i samorzadowych. Winni przestępstwa porzucenia rodziny mają być pociągani do odpowiedzialności nietylko z prywatnego oskarżenia, ale i przez prokuratora. Do projektu ustawy dołączone zostało starannie opracowane uzasadnienie, wskazujące na konieczność skuteczniejszej, niż dotychczas, ochrony przez ustawodawcę instytucji rodziny, oraz przedstawiające w sposób treściwy przepisy, jakie pod tym względem zawierają prawodaw-

stwa szeregu państw europejskich (między innemi przytoczona jest ustawa francuska w przedmiocie porzucenia rodziny z dn. 10 lutego 1924 r.)

*

Koło Polonistów słuchaczów Uniw. Warszawskiego wydało z powodu 10-cia koła „Rocznik“, zawierający kilkanaście prac omawiających szereg zjawisk literackich od „Sofiówki“ Trembeckiego aż do Prusa. Ná szczególne wyróżnienie zasługuje praca ś. p. Leona Gallego, o charakterze zresztą nawskroś historycznym, odtwarzająca tło historyczne „Pana Tadeusza“, praca gruntowna i interesująca. P. R. Blüth słusznie prostuje błędną wersję, jakoby w „Pomniku Piotra“ Mickiewicz stawiał obok siebie Puszkina. Oczywiście ma to być Rylejew. Zbyteczne są tylko dalsze hypotezy p. Blütha, mocno naciągane. Subtelną i dokładną „Analizę wyobraźni twórczej Goszczyńskiego“ daje nam dr. Suchodolski. Prace p.p. Biernackiej (o „Sofiówce“), Jabłońskiej-Erdmanowej (o wpływach oświecenia śród młodzieży wileńskiej przed filomatami), d-ra Furmanika (o „Sonetach“ Mickiewicza), dr. Chrzanowskiej (o tragizmie „Wallenroda“), Kruszewskiej (o tłumaczeniach Byrona przez Odyńca) wreszcie Klingerowej szkic uogólniający o humorze Prusa — dopełniają całości. Książkę (sporą o 230 str.) zamyka zbiór listów Goszczyńskiego do Cieszkowskiego z lat 1845—1866. Usunięto z nich, niestety, ciekawe szczegóły o stosunku p. Elizy Krasińskiej do Delfiny Potockiej. (Z przykrością należy stwierdzić nader niedbałą korektę, zwłaszcza w artykule p. Gallego, a także kilka błędów językowych, szczególnie przy odmianie nazwisk rosyjskich, n.p. Romanowych, Bestużewych; po polsku winno być Romanowów i t. d.)

*

Aforyzm Woltera, że wszystkie rodzaje w literaturze są dobre, prócz nudnego, sprawdza się na powieści p. Jalu Kurka „S. O. S. (zbaw nasze dusze)“, wydanej w Krakowie przez wydawnictwo „Zwrotnicy“. Nie pomaga książce jej pseudofantastyczna forma, z powodu braku twórczej fantazji autora, ani jej również nieoryginalna myśl przewodnia, pogarda społeczeństwa i jego cywilizacji. Akcji, plastyce, postaciom i djalogom brak życia i dowcipu. Brak latarni, przy której możnaby dojrzeć, ku czemu dążyła powieść a ku czemu kieruje Zwrotnica. Autor szydzi z nauki, pracy, poezji i polityki, jednak szkoda, że czyni to bez talentu. Najskrajniejsze zestawienia brukowych plotek i rzekomych wiadomości naukowych, pomieszane w groch z kapustą nazwiska Chaplina, Ossendowskiego, Rabindranatha Tagore, Flammariona i Poli Negri brzmią bezdźwięcznie, a wszelkie, za cenę wyzbycia się zdrowego rozsądku i artystycznego sensu, wysiłki zadziwienia czytelnika pozostają bez rezultatu.

*

Kto jak kto, ale p. Józef Birkenmajer zasłużył sobie na wdzięczność czytelników. Tłumaczy wciąż z angielskiego.... ale to nic jeszcze! Małoż niepowołanych piór tłumaczy z angielskiego? P. Birkenmajer pierwszy okazał doskonały smak w doborze przekładów; przekłada rzeczy wyborne, które rzeczywiście oddawna przyswoić należało naszej literaturze. Toż on pierwszy dał nam integralny przekład Kiplingowskiego „Kima“, o całe niebo przytem lepszy od poprzednich. On pierwszy z gustem, pietyzmem i artyzmem tłumaczy Stevensona. Nie tak dawno spolszczył rozkoszną „Wyspę Skarbów“ (*„Treasure Island“*), a oto znów podaje nam do ręki najśliczniejszą może opowieść Stevensona; „Porwanego za młodu“ (*„Kidnapped“*) — prawdziwie ujmujące arcydziełko. Przygody Dawida Balfoura na okręcie, na skale morskiej Earraid przy wybrzeżach Szkocji, ucieczka przez szkockie wrzosowiska, przyczajenia po leśnych rowach... powieść awanturnicza, a kreślona z dystynkcją artysty, skromna, a rycerska i wytworna. Czytając, cały czas mamy wrażenie, że widzimy zbliska, wyraźnie i przyjemnie, — tak dekoracyjnie roił rzecz swą Stevenson w wyobraźni. Akcja i fantazja — to dwa bratnie żywioły jego twórczości. Niedarmo książka wyszła w serji „Świat podróży i przygód“ (Poznań, nakładem „Wydawnictwa Polskiego“). Ale coś jeszcze przydaje wdzięku tej powieści: oto powietrze jej delikatnie opalizuje kolorami historji. To zarazem świetna przez delikatność stylu i kolorytu powieść historyczna z w. XVIII! Nie dziw, że Stevenson jest w Anglji tak wysoko ceniony i tak bardzo kochany. To za kult ducha rycerskiego, za miłość pejzażu ojczystego, za prawidłowy strukturę moralną. To jakoby miniaturowy angielski Sienkiewicz.

Czekamy teraz na dalszy ciąg tej powieści — może równie dobry! — na „Catrionę“.

*

„Babbitt“ — to ni mniej ni więcej, tylko najbardziej dziś znana powieść amerykańska na kuli ziemskiej, powieść, którą witamy w tym roku także w przekładzie polskim. Nie lekceważmy tych trzech tomików „Bibljoteki groszowej“ (ostatnio wydanych, jako tom pojedyńczy) — bo to coś jakby amerykańska „Trylogja“, jakby epopea. Opowiadanie o życiu i myślach Babbitta, agenta handlu nieruchomościami w Zenith: — o tem, jak się golił, jak lokował samochód w garażu, jak przy uroczystych okazjach potajemnie kupował flaszkę alkoholu, jak nudził się z żoną, jak się duchowo rozprężał w wesołej kompanji braci-masonów, jak robił interesy na klijentach, jak był typowym Amerykaninem z Zenith. I tak, czytając, zobaczymy Atlantyk odległości między cywilizacją polską, a dzisiejszą amerykańską.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Księgarnia Plon'a wydała w przekładzie na francuski „Wspomnienia“ Henry Wickham Steed'a, jednego z wybitniejszych publicystów angielskich kilkudziesiu lat ostatnich. (*„Mes Souvenirs“*. Tom I-szy od 1892 r. —1914, T. 2-gi 1914—1922 r. Str. 375 i 381). „Wspomnienia“ Steed'a, obejmujące trzydziestoletni okres życie politycznego Europy, barwnie odtwarzają to życie w różnych jej krajach i dają ogólny pogląd na zdarzenia, które doprowadziły do Wielkiej Wojny, zarówno jak i na nią samą: Autor „Wspomnień“, w ciągu długoletniej swojej pracy dziennikarskiej na stanowisku referenta politycznego *„Times*'a“ tak się dał poznać światu politycznemu Europy, że podczas wojny, mógł docierać z łatwością do sfer wpływowych, mógł obserwować zbliska ludzi, kierujących polityką europejską, patrzeć zbliska na ich działalność. Jak mało kto przytem, studjując pilnie przez szereg lat politykę Europy, był wtajemniczony w jej sprężyny, znał wybornie jej rozmaite dążenia i cele, jej plany i zamiary.

Wszystko to podnosi wagę „Wspomnień“ jako źródła do poznania przyczyn oraz przebiegu wielkiej katastrofy dziejowej. Wiele tu rzeczy ciekawych i doniosłych znajdą dla siebie jej historycy przyszli, wiele nauki mogą stąd wynieść pisarze polityczni. Nauką znowuż dla dziennikarzy jest sam żywot Steed'a, to jak rozumiał on obowiązki swego zawodu. Opowiada nam Steed, że miał naturalną skłonność do dziennikarstwa i że wszedł na tą drogę bez wahania, poświęcając ponętniejsze widoki karjery jaka się przed nim otwierała. O zawodzie obranym z przekonania miał wysokie wyobrażenie i przygotowywał się do niego, jak do *sui generis* kapłaństwa. Przewędrował przez całą Europę, poznał dokładnie stosunki polityczne jej krajów, i—z biegiem lat, badając wciąż zagadnienia polityczne swego czasu, pełniąc rzetelnie obowiązki zawodowe, stał się wkońcu nietylko wybitną osobistością świata dziennikarskiego, lecz wogóle osobistością znaną powszechnie, o wpływowem stanowisku w świecie politycznym. Nigdy nie wychodził z roli dziennikarza, nigdy nie porzucał swego zawodu, szczycił się nim zawsze, a dziś wyznaje, że większego zadowolenia nie dałby mu żaden inny zawód w świecie. Najsumienniejszy nawet dziennikarz ma swoje słabe strony, znajdujemy ich odbicie i we „wspomnieniach“ Steed'a. Zanadto nieraz ich autor popisuje się swojemi wysokiemi stosunkami, przechwala się nieco swoimi wpływami i odziaływaniem na bieg spraw politycznych. Moglibyśmy mu również wytknąć —jako rzetelnemu referentowi politycznemu—że jakoś nie spostrzegł znaczenia kwestji polskiej w okresie wielkiej wojny, gdyż o tem w obszernych „wspomnieniach“ prawie nic nie mówi, podczas gdy przejmuje się sprawami Czechosłowaków i Jugosłowian, którym poświęca wiele stronic. Nie tak dawno Steed bawił w wolnej Polsce, może więc zainteresował się jej życiem: pozwala to mieć nadzieje, że błąd swój w stosunku do nas kiedyś naprawi.

*

Tegoroczna nagroda Goncourt'ow przypada p. Maurycmu Bedel za jego wesołą i ironiczna powieść p. t. *„Jérôme, 60° Latitude Nord“* (Nouvelle Revue Française), w której przedstawia on przygody młodego Francuza, odkrywającego nietylko Norwegję, ale zwłaszcza jej zwyczaje, a przedewszystkiem obyczaje tamtejszych kobiet. Jérome zaręcza się nawet z młodziutką panną Uni Hansen, ale ze zdziwieniem dowiaduje się, iż w Norwegji można się równie łatwo rozręczyć, a nawet zerwać związki małżeńskie i kolejno wypróbować kilku mężów, a z poprzednimi utrzymywać zresztą potem jaknajlepsze stosunki przyjacielskie. Młodzież amtejsza przywiązuje też do tego stanu mniejsze znaczenie, aniżeli n. p. do sportów. Te wszystkie rewelacje tak zdumiewają młodego Francuza, iż postanowia jaknajprędzej powrócić do Francji. Powieść ta, lekko i barwnie napisana, spotkała się z bardzo dobrem przyjęciem prasy. Niektórzy tylko pisarze francuscy zaprotestowali przeciwko takiemu przedstawieniu „obyczajności“ sympatycznej Norwegji, bojąc się, że uświęcenie talentu młodego laureata przez *Jury* Goncourt'ow ściągnie jakieś komplikacje „dyplomatyczne“, a tymczasem książka ta wywołała w samej Norwegji ogólne zainteresowanie, a bynajmniej nie zgorszenie. Jest w niej bowiem dużo subtelnej ironji na temat: co kraj to obyczaj.

*

Nakładem księgarni *„Littorio“* w Rzymie wydana została niezwykle interesująca książka Maxa di Collato p. t. *„L'Italie fasciste“*. Jest to, poza mowami Mussoliniego, najpożyteczniejsza z książek, wydanych nie po włosku, jeśli chodzi o zapoznanie się z ideami i duchem faszyzmu. P. di Collato podaje szereg cennych wiadomości o reformach, przeprowadzonych przez faszyzm w przeciągu pięciolecia, między innemi omawiając szczegółowo przekształcenie Włoch na t. zw. „państwo korpora-

cyjne". Nawet pewien ton megalomanji narodowej, bijący z kart książki p. di Collato zasługuje na uwagę z tego względu, że pozwala orjentować się w poglądach i nastrojach, jakie dziś panują powszechnie we Włoszech. „Faszyzm" — według nader znamiennych słów autora — „jest jedną z form cywilizacji rzymskiej, podobnie jak starożytne cesarstwo rzymskie, Kościół i odrodzenie... Faszyzm podjął imperjalną i religijną koncepcję Rzymu, ażeby przeciwstawić ją złu, które triumfuje. Tem złem jest rola kierownicza, jaką współczesne zmaterjalizowane społeczeństwa przypisują pieniądzowi".

*

W serji „*Italia Nuova*" (nakład N. Zanicheli w Bolonji) wydana została interesująca książka p. Angelo Meriotti p. t. „*L'Industria del forestiero in Italia*", poświęcona gospodarczej stronie zagadnienia turystyki. P. Meriotti jest dyrektorem E. N. I. T. (*Ente Nationale Industrie Turistiche*) jednocześnie zaś wykłada specjalnie ekonomję turystyki na uniwersytecie rzymskim. Jak wiadomo, we włoskim bilansie płatniczym dochody z turystyki zagranicznej odgrywają nadzwyczaj doniosłą rolę, umożliwiając wyrównanie wielkich corocznych deficytów bilansu handlowego (np. w r. 1925 deficyt ten wynosił zgórą 7.896 miljonów lirów). Nic też dziwnego, że gdy chodzi o kwestję wzmożenia turystyki zagranicznej, Włochy przedują zarówno pod względem organizacyjnym jak naukowym, i narody, które zaczynają dopiero w tej dziedzinie prace przygotowawcze, wiele mogą skorzystać z ich doświadczeń. Praca p. Meriottiego dzieli się następujące działy: część ogólna, propaganda, turystyczne wykształcenie zawodowe, (specjalne szkoły dla hotelarzy, agentów biur podróżniczych i t. d.) polityka hotelarska, komunikacje i transport, organizacja turystyki w ścisłem znaczeniu, ważność polityki turystycznej dla Włoch.

*

Sinclair Lewis, wieszcz „Babbitta", ma już za sobą jakiś dziesiątek powieści, lecz sławę zdobył dopiero przed paru laty „Ulicą Główną" i „Babbittem". Wtedy właśnie okrzyknięto go piewcą Ameryki współczesnej, najznakomitszym interpretatorem psychiki przeciętnego Amerykanina, tym prawdziwym pisarzem amerykańskim, na jakiego oddawna napróżno czekano.

Bo też dawniejsze generacje piszących Amerykan, byli to jednak ludzie typu duchowego mniejwięcej europejskiego. Popularni u nas pisarze amerykańscy: od Edgera Poe do Bret Harte'a i Marka Twaina, to naogół produkty cywilizacji pioniersko-rolniczej, bynajmniej nie kupieckiej i nie industrjalistycznej. Ameryka w ich utworach wygląda od biedy, jak jeszcze jeden kraj europejski. Schemat uczuć, przywiązanie do ziemi, do przyrody, liryzm — wszystko to w starym stylu.

Lecz sprawa wygląda tak, jakby w miarę krzepnięcia i wyodrębniania się samoistnej cywilizacji amerykańskiej, poeci ginęli w Ameryce razem z bizonami. Oddawna nie zabłysnął tam żaden wielki talent poetycki i (o ile o takich rzeczach wogóle można sądzić z prognostyków) — nieprędko chyba zabłyśnie.

Otóż oryginalność Lewisa polega na tem, że odrzuca on wszelkie poetyzowanie. Nie nastawia się na poetycki kąt widzenia. Studjuje natomiast zawzięcie amerykańską cywilizację. To jego główne zainteresowanie. Beletrysta — socjolog. Cały wysiłek swego niepospolitego talentu łoży w odtworzenie prawdy życia, lecz prawda ta — to dla niego przedewszystkiem prawda cywilizacji.

Tę przewagę zainteresowań socjologicznych niewątpliwie tłumaczyć należy tem, że duch środowiska, cywilizacja rodzima— to dla Amerykanina rzeczy ogromnie realne, bardzo uchwytne. Widzi potęgę ich działania, bo ma przed oczami serje ludzi tak standardyzowanych, jak przemysł w produkcji masowej standardyzuje samochody, albo maszyny do szycia. W tych warunkach zaostrza się w sposób naturalny zmysł socjologiczny obserwatora.

Trudno znaleźć dla Lewisa odpowiednik wśród naszych pisarzy. Poniekąd nasuwałoby się porównanie z Kadenem. „Generał Barcz" — to prawdziwie cenny dokument (w przeciwieństwie do takich bezwartościowych, zrodzonych li tylko z atramentu i snobizmu literackiego utworów, jak „Miasto mojej matki" oraz „W cieniu zapomnianej olszyny".). Prawda „Barcza" zarezerwuje ten fragment twórczości Kadena dla potomności. Ale prawda to popsuta pozerstwem i manierą poetyzowania *à rebours*, a przytem ileż słabszy u twórcy „Barcza" zmysł socjologiczny... Bez niewłaściwej megalomanji narodowej stwierdzimy, że Kaden ani się umywa do Lewisa.

A zresztą Lewis to pisarz rozkładowy. Rozkłada i nicuje cywilizację purytańsko-protestancką, ale tylko po to, aby zrobić miejsce dla ideałów wolnomyślnych, „postępowych" i liberalnych. Ostatnią powieść swoją, „*Elmer Gantry*", która ze względu na tendencje antychrześcijańskie wywołała niesłychaną burzę w opinji amerykańskiej, dedykował przywódcy wolnomyślnego obozu i najaktywniejszemu Żydowi w literaturze amerykańskiej, H. L. Menckenowi.

*

Jenerał Ludendorff wydał świeżo książkę p. t. „Zniszczenie Masonerji przez odsłonięcie jej tajemnic" („*Vernichtung der Freimaurerei durch Enthüllung ihrer Geheimnisse*", *München, Fortschrittliche Buchh)*.

Prasa antyżydowska zachodniej Europy porusza często zagadnienie, czy istnieje tajny międzynarodowy rząd żydowski, któremu podlegają Żydzi całego świata. Otóż jenerał Lüdendorff wypowiada w swojej książce twierdzenie, że loże masońskie są posłuszne rozkazom owej międzynarodówki żydowskiej, która chce rozciągnąć władztwo Żydów nad całym światem.

*

Dr. Hergeth (Graz, Heimatverlag) wydał świetnie napisaną książkę „Z powojennej działalności Masonów i Żydów w Austrji". Autor zajmuje się specjalnie wpływem i działalnością masonerji w najrozmaitszych związkach kulturalnych i politycznych, t. j. związkach „profanów".

TEATR

MORALNOŚĆ PANI DULSKIEJ

WZNOWIONA w teatrze Polskim komedja Gabrjeli Zapolskiej „Moralność Pani Dulskiej" okazała się dziełem zupełnie świeżem. Dzięki Zapolskiej wiemy, co to jest „dulszczyzna". Sztuka dokonała tego odkrycia w czasach naturalizmu, kiedy pisarzom zależało na odsłanianiu prawdy. Robiło to nawet przykrość czytelnikom lub publiczności w teatrze i na wystawach sztuki plastycznej, nie mniej poruszano coś z rzeczywistości, otwierano na coś oczy. Są to dla ludzi dzisiejszych czasy legendarne, owe czasy, kiedy było kategoryczne Tak i Nie, Brzydkie i Piękne, Dobre i Złe. Zapewne, duch krytyki i protestu sprawiał, że może więcej akcentowane było przeczenie, brzydota i zło, niż afirmacja i dodatniość, ale wiedziano, o jakie wartości chodziło. Trzeba się przypatrzeć pani Dulskiej, jak ta Zapolska, nie mająca zresztą pretensji do tytułu wychowawczyni, wrażliwa była na braki w kulturze moralnej. Satyra Zapolskiej miała w jej naturalizmie artystycznym niezawodne ostrze. Operacja, której dokonała na małym światku ogniska Dulskiej, uderza nas swoją precyzyjnością i bezwzględnością, a dlatego robi takie wrażenie, że późniejsi autorzy odzwyczaili nas od kryterjów brzydoty i piękna w dziedzinie etyki. Kilkakrotnie w tem miejscu — może do uprzykrzenia — robiłem z tego powodu wyrzut komedjopisarzom, że te kryterja są im obce, że nie widać w ich dziełach, aby sami mieli ustalony dla siebie pogląd na zjawiska moralne.

Zbrodnia, grzech, słabość ludzka są wieczne, ale stają się nieszczęściem społecznem, gdy braknie w społeczeństwie zmysłu ich rozpoznawania, gdy owszem pisarze dumni stają się z tego, że dla nich są to zjawiska względne. Ze wszystkich postaci „kołtuństwa" Zapolska najjaskrawiej przedstawiła połowiczność kultury w dziedzinie etyki i na tem właśnie polega wewnętrzna wartość komedji. Cywilizacja zachodnia od tego zaczyna dzieło człowieka, że wytwarza w nim honorowość etyczną, która polega nie na poprawności form, ale na smaku czystości zasad. W życiu publicznem temu postulatowi kultury odpowiada poczucie praworządności, o której się już nie dyskutuje, w prywatnem zaś godność osobista, nie pozwalająca na kłamstwo i płaskość. Kultura typu rzymskiego tak hodowała ludzi „dystyngowanych". W Polsce połączona jest ta uprawa charakterów z obroną od wpływów cywilizacji niższego typu, których niższość poznaje się właśnie po kołtuństwie moralnem, po owej „dulszczyźnie". Bywa ona śmieszna na poziomie życia prywatnego, ale staje się zjawiskiem tragicznem, gdy zapanuje nad życiem publicznem.

Pani Dulska jako tolerantka nieprawości w kółku domowem jest prototypem wszystkich ludzi bez smaku etycznego, budujących na nieprawności życie publiczne. [illegible] W światku p. Dulskiej pokazano nam od zarodka, jak się lęgną zbrodnie w atmosferze tego kołtuństwa

etycznego. Światek ten trzyma się dyktaturą Dulskiej, bo jest już odzwyczajony od dobrowolności moralnej; ale to, co w tej formie się trzyma, to już tylko kał, który wkrótce, gdy rządy Dulskiej pękną, rozleje sie, niosąc zarazę na świat.

Niepospolity talent Zapolskiej ujawnił się w tej komedji w całej pełni. Rzecz pisana z furją, gwałtownemi rysami, skierowanemi na kontur idei naczelnej utworu. Stąd niezmierna wypukłość obrazu, aż dotkliwa dla oczu przywykłych do świałeł dyskretnych. Słusznie zauważono, że sztuka Zapolskiej przerasta wymagania rodzajowości, jako obrazek pewnego czasu i miejsca. I reżyser teatru Polskiego to czuł, skoro barwę lokalną Lwowa zastąpił krakowską. Możnaby pójść krok dalej i grać ją, jako rzecz nową w kostjumach współczesnych, aby nie myślano, że kołtuństwa już niema, albo że zostało we Lwowie.

Z. W.

JASEŁKA

ZDARZYŁO mi się widzieć w Poznaniu jasełka Zegadłowicza, wystawione w miejscowym teatrze Polskim. Pamiętam jasełka L. Rydla grane we Lwowie, potem Or-Ota w Warszawie, słyszałem też o pastorałce L. S. Schillera (obecnie też wystawionej w innym teatrze poznańskim). U Zegadłowicza jest to dla ducha czasu charakterystyczne, że literacką stylizację przerasta pierwiastek religijny. Ułożył widowisko poeta do głębi przejęty świętością tematu, a wychowany w tradycjach kolendy. Niezmiernie podniosłe i dramatyczne są sceny, w których wyraża pragnienie ludu polskiego, aby Chrystus z nim pozostał. W scenie końcowej Matka Boska ulega gorącości serc i występując z obrazka szopkowego, wkracza między lud na proscenium z Dziecięciem na ręku. Tłum formuje się w procesję Bożego Ciała z baldachimem, dzwonkami, kwiatami słanemi przez dzieci i pieśnią *unisono*.

Jasełka Zegadłowicza umiejętnie podzielone na kondygnacje, odbywają się w kilku planach, poczynając od chórów anielskich w górze, a kończąc na pasterzach, realistycznie traktowanych, którym całe zjawisko ukazuje się we śnie. W interludjach sceny Heroda traktowane dramatycznie mają wiele oryginalnego pogłębienia poetyckiego. W scenach hołdu polskiego do najbardziej wzruszających i nowych należy pokłon niosących dary rybaków z Pomorza.

Dzienniki wileńskie doniosły, że utalentowany poeta Tadeusz Łopalewski wystawił w Reducie swoją Pastorałkę. Nie mogłem jednak zrozumieć, dlaczego p. Czesław Jankowski w „Słowie" z taką złośliwą, prawie młodzieńczą zaczepnością, a bez odpowiednich motywów, napisał z tego widowiska sprawozdanie. Wogóle nie zrozumiały jest stan irytacji na takiem widowisku. Łącząc się w uczuciach z powszechnością narodową więcej zyskujemy „na górze" swojej, niż zyskuje dół ludowy, gdy do niego idziemy z formułą bylejakiej powszechności politycznej (choćby równej, bezpośredniej i tajnej), która, niestety, nieraz więcej dzieli, niż łączy. Za to samo należy się pisarzom wdzięczność, że szukają wspólnego podłoża, aby dusza ludzka przynajmniej raz w rok koło świąt oczyściła się z pleśni życia jednem powszechnem pragnieniem świętości.

Z. W.

Teatr Narodowy wystawił nową komedję Włodzimierza Perzyńskiego, nie zaszczycił jednak „Myśli Narodowej" zaproszeniem na premjerę, dlatego sprawozdania nie dajemy.

*

Jak słychać teatr Polski w Warszawie wystawi wkrótce „Don Kiszota" St. Miłaszewskiego i komedję Kiedrzyńskiego „Kłamstwa miłości". Podobno Ferd. Goetel wykończył tragedję na tle dziejów Samuela Zborowskiego.

*

Emil Zegadłowicz wystawi tej zimy w teatrze Polskim w Poznaniu nowy dramat „Wigilja".

NA MARGINESIE

Masonerja już z odsłoniętą przyłbicą prowadzi brygady swoje na obóz, który pod hasłem obrony narodu i Kościoła szereguje wiernych. Odezwę biskupów polskich prasa masońska okrzyczała jako demagogję (Epoka), „szkodliwą dla państwa" (Naprzód), grożąc wypowiedzeniem konkordatu i oddzieleniem kościoła od państwa. Mamy w pamięci, jak krzyczano w tej „miarodajnej" prasie: „Precz z władztwem czarnych sutan w szkole i urzędzie, w obyczajach narodu — w małżeństwie i polityce!" (Głos Prawdy). A oto teraz odbył się we Lwowie zjazd rabinów. Dzienniki żydowskie (Nowy Dziennik) podnoszą okazaną rabinom uprzejmość. Podejmowano ich ostentacyjnie. Rabini korzystali, a było ich 124, z bezpłatnego przejazdu nadzwyczajnym pociągiem pośpiesznym. Zjazd w rezolucji wyraził „pełne zaufanie rządowi, w szczególności zamierzeniom marszałka Piłsudzkiego, wzywając społeczeństwo żydowskie do bezwzględnego popierania tego rządu". Pokazuje się, że można osiągnąć harmonję w stosunku z przedstawicielami wyznań.

*

Znany pisarz Edward Ligocki postanowił ogłosić w „Głosie Narodu" list otwarty do ministra sprawiedliwości p. Meysztowicza z zapytaniem, dlaczego kazał umorzyć sprawę o oszczerstwo, wytoczoną przez niego redakcji „Głosu Prawdy". Sprawa była już w śledztwie trzy lata, sprawa ważna, chodzi bowiem o cześć słynnego pisarza, którego pomówiono o szpiegostwo i inne zbrodnie. „Głos Narodu" nie wydrukował całego listu w obawie dekretu prasowego, który nie pozwala krytykować zarządzeń władzy, ale redakcja kończy apelem do ministra, że przecież — spodziewać się można — chyba „uzna za stosowne wyjaśnić, jakie były powody tego umorzenia", które nie pozwala napadniętemu się bronić. Nadzieję swoją dziennik opiera na analogji, że „zagranicą przyjęło się", iż zapytanie wybitnego pisarza jest uwzględniane. Czy nie straciliśmy już prawa do analogji?

*

Znajdujemy się w okresie historycznym, kiedy wiele trzeba myśleć i mówić o ustroju państwa, formach rządu, idei prawa, nawet zwykłej etyki. I to całkiem na nowo, całkiem od postaw, od elementarza. To też zabawnie brzmią w tej atmosferze werbalistyczne ideały sanatorów.

— A więc, jakaż forma rządu?

— Cezaryzm demokratyczny.

— A cóż to jest?

— Bonapartyzm.

Był taki literat, który zrazu przybrał imię Napoleona, ale wydało mu się zbyt pospolite, więc w pseudonimie zmienił je na „Cezar". Naród jednak nie może sztukować się pseudonimami, musi wejść w siebie, czem ma być istotnie jako państwo.

*

„Głos Prawdy", jedyny bodaj dziennik w Warszawie, który nie zdobył się na najłagodniejsze słówko potępienia wobec zbójeckich napadów na b. ministra Zdziechowskiego, red. Mostowicza, Adolfa Nowaczyńskiego, pisał dnia 8 b. m.: „Endecja jest szkołą zbrodni, moralnego pałkarstwa..." i t. d.

O pałkarstwie... fizycznem i tym razem nie wspomniano uprzejmie ani słowem.

BŁĘDY DRUKU. W nr. 1 z r. b. w utworze M. Wolskiej na str. 10 w w. 1 powinno być „kłańcach" (nie krańcach), a w przedostatnim zam. „spokojnie" powinno byc „spokojne". W artykule „O sąd na plagjatorach" należy poprawić: Na str. 13 szpalta 1 wiersz 19 zamiast „znał cię" powinno być „nosił się", tamże w. 5 od dołu zam. „niecny" powinno być „naiwny", tamże szp. 2 w. 34 zam. „wszystkie" powinno być „wysokie, a w. 20 od dołu zam. „godne" powinno być „godność".

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł. 9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM